Nr. 38. Warszawa, dnia 9 (21) Września 1895 r. Rok XV.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY“**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

***Adres: Żórawia Nr. 34.***
**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.



**Szanow. abonentów kwartalnych prosimy o nadesłanie przedpłaty.**

## POLITYKA.

### DWUDZIESTY WRZEŚNIA.

Los dziwnie sprzyjał Włochom do zjednoczenia się w państwo narodowe. W r. 1859 Francya wyparowała im austryaków z Lombardyi. W r. 1861 wyprawa tysiąca garybaldczyków wystarczyła do wyrzucenia „króla Bomby“ z Sycylii, a później i z Neapolu. W r. 1866 przymierze z Prusami zapewniło powstającemu państwu, mimo dwóch klęsk kapitalnych, jednej na lądzie, drugiej na morzu, posiadanie królestwa weneckiego. Szczęście zadrwiło wtedy z logiki wypadków, a ta logika znowu w r. 1870 pozwoliła uciszyć krzyk „Roma capitale“ zajęciem miasta wiekuistego prawie bez przelewu krwi, która popłynęła znowu jakby na żart. Przymierze pruskie raz tu jeszcze wystąpiło jako czynnik rozstrzygający, ale sprzęgły je same już wypadki, bez dyplomatycznego układu.

Gdy Francya przegrała bitwę pod Wörth i doznała krwawej porażki pod Saarbrücken — jednego dnia, 6 sierpnia — wojska francuskie w Rzymie już nie miały co robić, a przydać się mogły w ojczyźnie. Zaledwie ustąpiły, rząd włoski postanowił zająć, nietylko stolicę, ale wszystko, co jeszcze z państwa kościelnego papieżom zostało. Rozpoczęły się roboty dyplomatyczne i wojskowe. Po odpłynięciu francuzów z Civita Vecchii, zjawiła się zaraz w porcie flota włoska i zajęła miasto. W kilka dni później generał Cadorna stanął na pograniczu od północy.

Minister spraw zagranicznych, Visconti-Venosta, w sierpniu 1870 r., uprzedzając dwory europejskie o tem, co się stać miało, zaciągnął w imieniu swego rządu zobowiązanie, że przyszłe stosunki papiestwa urządzi na podstawie porozumienia się międzynarodowego. Król napisał list do papieża; nie zrażony odpowiedzią, wysłał p. Ponza di San Martino dla przekonania Piusa IX, że nie powinien się bronić. Papież nie dał się przekonać i d. 20 września, gdy gen. Cadorna stanął u Porta Pia, najemno wojska papieskie na strzały odpowiedziały strzałami. Pociekła krew, ale na krople liczyć ją było można. W samym początku walki papież przysłał rozkaz dobrowolnego ustąpienia przed przemocą.

Piemontczycy ustąpić nie dali: zabrali wszystkich, z 10 tysięcy, do niewoli; zostawili papieżowi gród Leona IV (Città Leonina), a resztę zajęli i wbrew przyrzeczeniu, że ludność Rzymu będzie się mogła urządzić jak zechce, chwycili ją w swe szczypce. Państwo papieskie istnieć przestało. W lecie 1871 r. król zatwierdził prawo o rękojmiach dla papieża, zostawiające mu swobodę ruchów, ale o układach międzynarodowych już nie wspomniał. Sprawa z międzynarodowej stała się wewnętrzną włoską. Europa rada była wielce, że nie potrzebuje urządzać tego, co bez wielkich wstrząśnień urządzić się nie dawało, zwłaszcza gdy Francya po widowni świata słaniała się już tylko jak cień.

Zajęcie Rzymu było koniecznością psychologiczną. Zdrowy rozsądek nie pozwolił przypuścić, że zjednoczeni włosi nie wessą Rzymu w swój młody organizm. Szkoda, że papiestwo samo konieczności tej nie dostrzegło: byłoby moralnie odzyskało wszystko, co niechybnie już utracić musiało politycznie. Takie postanowienie, w czyn wprowadzone, rozpoczęłoby świetną epokę dziejów papiestwa i Włoch niechybnie. Ale było ono nad siły Piusa IX i znowu konieczność psychologiczna zniewoliła papieża do nieustannego odczuwania krzywdy. Papież, który na króla i wszystkich jego wspólsprawców rzucił wielką klątwę, musiał potem w Watykanie uważać się za więźnia. Poczucie to odziedziczył po nim jego następca. Wżarło się ono w samą istytucyę kościoła.

Instytucya ta, będąc uniwersalną, jest zarazem i włoską, a dopóki miała władzę świecką, była też i potęgą narodową. Wyzucie jej z ziem od tysiąca lat posiadanych — przedstawiać się musi z tego stanowiska jako pomyślny dla Piemontu skutek wojny domowej. Od czasu amfiktyonii greckiej panuje zasada, aby nie stawiać pomników i nie urządzać uroczystości z powodu takich tryumfów. Ale wbrew tej zasadzie właśnie Crispi obchodzi w roku bieżącym 25-lecie wkroczenia wojsk włoskich do Rzymu. Jest to robota polityczna na zimno — nie objaw szczerego zapału.

### TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Manewry szczecińskie, zakończono d. 13 b. m. wykładem strategicznym ces. Wilhelma, dały Niemcom i Austryi sposobność do przypomnienia Europie potrójnego przymierza. Franciszek Józef wystosował do swego sprzymierzeńca d. 11 b. m. list nadzwyczaj serdeczny, w którym, stwierdzając braterstwo broni, mianuje cesarza niemieckiego generałem kawaleryi całej armii austryackiej. Nawzajem *Reichsanzeiger* z d. 12 b. m. wystąpił z podziękowaniem za bytność na manewrach, a w niem, mówiąc o braterstwie, przypomniał, że niemcy austryaccy są najwymowniejszym łącznikiem w obustronnej życzliwości.

Cesarz Wilhelm odbył w d. 14 i 15 przegląd floty pod Gdańskiem, a d. 16 razem z kanclerzem Hohenlohem wrócił do Poczdamu. Obecnie miał być już na polowaniu pod Romintami w Prusach wschodnich. Cesarza austryackiego spodziewano się jednocześnie w Klausenburgu na Siedmiogrodzie.

Pobyt księcia Hohenlohego w Werkach, wycieczka do Petersburga podczas manewrów szczecińskich, przyjęcie ks. Radolińskiego, posła w Petersburgu, w ustro-

niu pod Wilnem, powrót bezpośrednio do cesarza i wspólna z nim podróż do Berlina — wszystko to porusza pióra dziennikarzy, domyślających się jakiejś tajemnicy i ciekawych ją poznać. Francuzi są spokojni, anglicy objawiają niepokój. Poważnych danych do domniemań brak zupełny.

Na manewrach francuskich prezydentowi Faure'owi towarzyszy stale gen. Dragomirow. Jednemu z *interviewer*'ów *Figara* zwierzył się generał, że armia francuska jest wyborna, a kawalerya, wbrew przesądowi, nie ustępuje żadnej innej na świecie. „Śmiesznem jest — mówił—przewidywanie, jakoby Niemcy pobić mogły Francyę, zanim Rosya zdąży uruchomić swe wojsko. Ku Niemcom generał nie żywi zasadniczej nienawiści; owszem, kocha wszystkich.“ W połowie bieżącego tygodnia miały wojska francuskie stoczyć wielką bitwę. Będzie ona nauczającą, a nauka może nie pójdzie w las.

Sąd uwolnił trzech złodziei z kolei południowej — i to sąd przysięgłych.

Hr. Badeni jednocześnie z cesarzem d. 13 b. m. przybył do Wiednia, w sobotę miał półtoragodzinną audyencyę, w niedzielę jeszcze się porozumiewał z monarchą, a w poniedziałek wyjechał do Lwowa. Ma on już listę gotową, ale za dwa tygodnie ją dopiero ogłosi, gdy już przyjedzie do Wiednia dla objęcia władzy. Biliński ma być ministrem skarbu. Sam hrabia obejmie ministeryum spraw wewnętrznych, a przytem podobno i wydział Galicyi. Namiestnikiem zostanie już nie Dunajewski i nie Marchwicki, ale marszałek Eustachy Sanguszko.

Na Madagaskarze francuzi rozproszyli 700 howajów już za Andrybą, bliżej Antananarywo. Wojska Ranawalony pierzchły.

Na Kubie powstanie się wzmaga.

W Armenii po dawnemu, z dodatkiem nowych mordów w sierpniu. Turcya skłania się niby do 5 punktów memoryału z d. 11 maja r. b.; ale ponieważ ciągle kręci — niczego na pewne przewidywać nie można.

W Bułgaryi zaczyna się już ziemia trząść pod stopami księcia Ferdynanda. Ministrowie żądają od niego spełnienia obietnicy, że księcia Borysa wychowywać będzie w wierze prawosławnej.

## LITERATURA I SZTUKA.

### LITERATURA POLSKA.

Wiktor Gomulicki. *Złote ogniwa*, powieść. Warszawa, 1895, t. I str. 318, t. II str. 294.

Od ośmiu przeszło miesięcy męczę się nad tymi dwoma tomikami i dojść nie mogę, co mi się w nich naprawdę niepodoba. Osoby nie są całkiem obce, nieznane: widziało się je gdzieś, czytało się o nich. Akcya rozwija się logicznie, nadzwyczajności i nieprawdopodobieństw wielkich niema. Widoki miejsc— zapamiętano dobrze i w kompozycyi artystycznie uzupełniono, wyrównane. Wczesny poranek wiosenny na ulicach Warszawy (I, 21—27), wschód słońca w lecie na wsi (II, 240—241), zrobione są przepysznie. Pojedyncze sceny, w rodzaju oświadczyn nauczyciela chemii podczas lekcyi pannie Wacławie (I, 160 i nast.), lubo zbytnio tu i owdzie zamarynowane w sarkazmie quasi-realistycznym, czytają się najprzyjemniej. Czujność zmysłowa i psychiczna w jednostkach podniecona niekiedy bywa tak wysoko, że stary rejent Borowski, przechodząc korytarzami hotelu, nietylko słyszy z po za drzwi numerów kaszel i „przeciągłe gwizdanie przez nos“ śpiących, lecz może odróżnić „ciężkie i przerywane sapanie tłuściochów od drżącego świstu suchotnika, równy oddech dzieci od jękliwego wzdychania starców, lekkie szepty dziewcząt od zakłopotanego mruczenia niewiast starszych“ (I, 18). Rozmowy rzeźbiono nader starannie, wykwintnie, często po mistrzowsku, że się tu powołam tylko na uderzająco piękny dyalog emancypantki z musu, dla chleba, z emancypantką, mającą z czego wyznawać zasadę „nauka dla nauki“ (I, 140—141), lub piękniejszy jeszcze duet Heli Skalińskiej z Wolskim w powrocie łódką z Saskiej Kępy (II, 37—45). Perspektywa wypadków i miejsc zachowana umiejętnie, dużo wszędzie powietrza, wskutek dłuższych rozmyślań bohaterów i samego autora, raz po raz przedzielających przedmiotową osnowę zdarzeń; rozprawki takie stanowią najzwyklej całostki w sobie zamknięte, lecz z przedmiotem opowiadania ściśle związane, jak np. o pesymizmie i o tem, że w obecnym stanie urządzeń społecznych wyzwolenie kobiety to tyle, co wywłaszczenie (II, 93—99). Aforyzmów, sentencyj i wskazań moralnych, tak ustnych, jak listownych, w toku rozpraw i w trakcie opisów — pełno; niektóre z nich wcale dobre. „Kiep i mazgaj, kto życia nie znając, życiu złorzeczy i przed życiem ucieka.“ „Tylko na szerokiej, publicznej, milionami stóp wytartej drodze znajduje się szczęście.“ Ci, którzyby chcieli zniszczyć ból, niszcząc istnienie i zniszczyć istnienie, niwecząc miłość, ani wiedzą, jak straszne potęgi wyzywają do boju“ (II, 72, 77, 144). Słowem, z którejkolwiek strony spojrzysz, masz albo cacko cenne, albo naukę nieposlednią. A wszakże bynajmniej zadowolonym nie jesteś, ciągle mól jakiś cię gryzie.

Dążność więc chyba? Ależ — jest ona najszlachetniejszą w „Złotych ogniwach.“ Donośnie wypowiada ją, w uroczystej chwili weselnego zamknięcia powieści, główna jej postać, Zygmunt Borowski (syn owego wszechsłyszącego starego rejenta Borowskiego z hotelu): „Przyroda, spełniając najważniejszy z swych celów, zbliża obie płcie do siebie; cywilizacya współczesna pracuje nad ich rozdzieleniem. Pesymizm i emancypacya wykopały pomiędzy mężczyzną a kobietą przepaść, która coraz bardziej rozszerza się i pogłębia. Na szczęście, z pomocą rozdzielonym przybywa miłość i stwarza jednoczące ich na cały żywot złote ogniwa“ (II, 293). Wytknąć dwie główne choroby wieku, wykazać niezgodność ich z naturalnym porządkiem rzeczy we wszechświecie i znaleźć na nie jedno z najsłodszych na ziemi lekarstw — miłość, teza taka nie może być dla niego niepokojącą, nie mieści w sobie żadnego pierwiastku rozterki lub groźby. Przeto i tendencyę Gomulickiego przyjąć należy, zwłaszcza że przeprowadzenie jej przez doliny i wzgórza życiowe jest racyonalne, należycie uzasadnione, lubo wije się ścieżyną nieco za wązką. Z szeregu par, zwalczających *de facto* i *in spe* cywilizacyę (względnie pesymizm i usamowolnienie) przez miłość i powrót do natury, ubywa zaraz na wstępie stary Borowski i pani Magdalena Stecka. Kochało się dwoje

---

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

# DUCHY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

## ZWIASTUN.

**Widok 26**

Obszerny plac przed gmachem trybunału w Tenerze był po brzegi zalany tłumem ludzi, oczekujących sądu nad uwięzionym Arjosem. Masa ta składała się przeważnie z ciekawych widowiska i z obywateli, żądających surowego ukarania przestępcy dla postrachu na niewolników, których zbuntował w kilku dzielnicach państwa. Kogo nie ściągnął ani rozgłos sprawy, ani interes, tego znęciła nadzieja rozrywki.

W pierwszej grupie.

— Niewolnik Ozeb, wynajęty do szpiegowania, przebywał ciągle w rzeszy Arjosa i dostarczał dowodów.

— Jeżeli nie nakłamał, to się zbyt nie spracował, bo podobno Arjos przed nikim się nie krył.

— Tak, ale jego wyznawcy nie chcieliby świadczyć przeciw niemu.

— Licho wie, co to za człowiek! Jedni widzą w nim boga, inni kuglarza, a inni twierdzą, że podburzywszy niewolników, miał zamiar przy ich pomocy opanować Protoryę.

W drugiej grupie.

— Co to za niewolnicy?

— Wir-Wir ich przysłał, ażeby oświadczyli przed sądem, że Arjos namawiał ich do wymordowania wszystkich panów.

— Rzeczywiście?

— Tak im zeznawać kazał pod groźbą śmierci.

— Jest to obywatel poważny, czcigodny, ale trochę za okrutny.

— Czasem nie można inaczej rany uleczyć, tylko trzeba ją wypalić. A do czego by nas doprowadziło dłuższe grasowanie Arjosa? Ja sam złożyłem trybunałowi rachunek, że przez ucieczkę trzydziestu niewolników musiałem zamknąć kopalnię.

— Ale teraz wrócili?

— Nie wszyscy: pięciu uciekło z pod straży, a sześciu się zagłodziło.

— To duża strata.

* * *

Satar.

Przepiękną ma głowę. Co za sklepienie czoła, jakie głębokie i czyste oczy, jaki dobry wyraz ust! Wniosłem prośbę, ażeby mi pozwolili wymodelować go w więzieniu.

Anor.

On byłby nawet wyborną postacią do komedyi.

Satar.

Do komedyi? Oszalałeś?

Anor.

Mój drogi, bogowie są poważniejsi od niego, a można nimi ludzi ubawić.

Satar.

Spróbuj. Czy prawda, że Orla zakochała się w nim i tu bawi?

Anor.

Tak, ale wyobraź sobie, że ten rogacz Heron sprowadził ją po paromiesięcznej bytności u kochanka i chce żyć z nią dalej.

Satar.

Jesteś barbarzyńcą. Dla samego jej nosa żyłbym z nią przez wieczność. Czy też ja go kiedy odtworzę?

* * *

Tarlon.

Usuńmy się stąd, poznają nas.

Ega.

Z naszych stron nikogo tu niema.

Tarlon.

Co ty mówisz!

tych ludzi... przed czterdziestu laty; byli już z sobą po zaręczynach, kiedy naraz *on* podpatrzył, że *ona* przyjmuje po nocach w swoim pokoiku *via* balkon szczęśliwszego młodzieńca—i umknął; obecnie, dowiedziawszy się od niej samej, z jej ust, że to był brat wygnany z domu (przez cywilizacyę?), drapnął po raz drugi. Ze szranków wycofuje się również Albert Wolski, krewny Steckiej — figura wyśmienita, gruntownie wystudyowana, do złudzenia prawdziwa. Mieszaniec, z ojca polaka, z matki francuski, reprezentuje Wolski dekadentyzm fizyczny i dopiero *in extremis*, na śmiertelnej pościeli, ofiaruje swe serce i niezliczone bogactwa ślicznej, rozumnej, pracowitej, wesołej, wysoce niegdyś urodzonej Helce Malińskiej—najlepszej, najrzeczywistszej postaci ze „Złotych ogniw." Przyszłość ma tym sposobem do dyspozycyi wdówkę, zdolną nawrócić Afrykę całą, gdyby kiedykolwiek zatonęła w spleenie angielskim lub flircie amerykańskim. Po za konkursem pozostaje także panna Kręcikówna, autorka traktatu o niewolnictwie małżeństw, czy czegoś w tym sensie, uosabiającą irrydendę emancypacyi i wzdragającą się dać na zapowiedź (z kimkolwiek) nie tyle może dla braku dobrych chęci i drobnej monety, ile z powodu swego portretu, najprzedniejszego flamandzkiego pędzla: „raczej krótka niż nizka i raczej rozczochrana niż nieuczesana, miała gruby głos dojrzewającego chłopca, męzki brudny kołnierzyk, na twarzy czerwone plamy, a rozmawiając z mężczyzną, wykręcała się bokiem" (I, 123). W końcu z „armii zbawienia" wykluczyć należy humorystyczną jej ilustracyę, złożoną z gospodyni, pani Steckiej, Dudy-Dudzińskiej i rządcy kamienicy, pana Piórko, których dozgonne ogniwo złote pokonać ma cywilizacyę — w jej określeniu antymatrymonialnom — o tyle tylko, o ile ona pesymistycznie dymi się z fajeczki rządcy i emancypacyjnie kipi w kieliszku gosposi.

A zatem, we właściwej krucyacie przeciwko emancypacyi i pesymizmowi, czyli dokładniej mówiąc — we właściwym koncercie na dochód miłości i przyrody, biorą udział cztery tylko osoby: panna Wacława Stecka, emancypantka o zdrowych nerwach, czerstwych zmysłach i chłodnej naukowej głowie; młody Zygmunt Borowski, pesymista po uszy brnący w Buchnerach i Moleschottach, a wałęsający się jak lunatyk po krawędziach „Weltschmertzu" i dekadentyzmu moralnego, przyjaciel cherlaka Wolskiego; Justyn Bronisz, młody, ogorzały, zamaszysty i mozolisty ziemianin — przyroda wiejska w kwadracie zacności prostodusznej; wreszcie młodsza siostra Wacławy, Ludka Stecka — potrójna, poczwórna, popiątna nawet esencya miłości, powabna jak promień wiosenny, czysta jak westchnienie ofiarne.

Gra się rozpoczyna—oczywiście od próby instrumentów. Długi czas pesymizm i emancypacya (Zygmunt i Wacława) pobrzękują na środkowych strunach wzajemnego ku sobie ciążenia dusz, ale się to jakoś nie wiąże, wydając z siebie jedynie bezbarwność monotonną, niezmiernie dla słuchającego uciążliwą i nudną. Przyroda tymczasem (Justyn) raz po raz wpadnie do Warszawy i wesołym swym śmiechem potrąci z Ludką o motyw, którego Wacława z Zygmuntem ciągle jeszcze szukają — w głowach. Ale zachodzą rozmaite wypadki — żywiołowe i atmosferyczne, zarówno w mieście, jak i na wsi, dokąd Justyn, jako kuzyn Steckich, zgromadzenie zaprasza. Wacława gorliwie zajmowała się chemią. Pewnego dnia wszczął się w jej pokoju pożar; wpadł Justyn i zemdloną wyniósł z płomieni, „silnem ramieniem przycisnąwszy ją do piersi": dało to uczonej dziewczynie do myślenia: „odtąd badać go zaczęła pilniej" (II, 183). Innym znowu razem, podczas przechadzki z Zygmuntem, uderzył piorun w bliskości; Wacława padła na ziemię jak długa, on zaś, Zygmunt? — on to nic a nic. Emancypantka przerażona wraca do domu i słyszy w sąsiednim pokoju rozchychotaną rozmowę basu z kwintą (Justyna z Ludką). Tego już za wiele.. Wacława „potoczyła się w stronę łóżka.. Chciała spocząć, usnąć może.. Ale zaledwie dotknęła pościeli, coś rzuciło ją na kolana.. Z wysiłkiem szepnęła raz jeszcze: *Nie ustąpię!* — i w tejże chwili z oczami w biały krucyfiks utkwionemi, łzami się zalała. Wśród łkań i jęków zaczęły z ust jej płynąć słowa przerywane: *Ojcze nasz... który jesteś... w niebie...*" (I, 301). Reszta wiadoma: przyjść ona musi, jak *amen* w pacierzu.

Opuszczony Zygmunt nie pozostał przecież w osamotnieniu. Do rozstrojonej tej tercyi, kwinta zbliżała się nieustannie, od początku, ale — ma się rozumieć — bez powodzenia, z powodu Wacławy. Skutek nastąpił dopiero w jednej z ostatnich odsłon melodramatu. Kilka dorywczych z niego rysów: Zygmunt, porwawszy rewolwer, wybiega w pole. Ludka za nim. Spotyka zrozpaczeńca w parowie, błaga go, żeby się nie zabijał. „Czy pan widzi, jaki świat piękny, jaki Bóg dobry" (II, 242). Szczęście jest w wierze, a „wiara jak słońce jest dla wszystkich" (243). A on: „naucz mię jej, pani"— i ze smutkiem wyznaje, że swe szczęście umieścił nie w słońcu, tylko w sercu kobiety, która jego być nie może... nie prędko się Ludka domyśla, w czyjem, ale się ostatecznie domyśla. „Czy to kobieta *dobra?*" — pyta (244). A jakże! Więc ona: „Niechże pan pamięta, że Bóg jest dobry i że kochać go trzeba." A on: i owszem—„kocham go z całego serca i ze wszystkich sił swoich, bo mię uczynił szczęśliwym" (253).

Że w sumie ogólnej wszystko to jest wielce pouczające i niesłychanie eleganckie — nikt się o to nie sprzeczał i sprzeczać nie będzie. Ale my obowiązani jesteśmy powiedzieć autorowi, dlaczego to jest całkiem niesmaczne.

Wina w pierwszym rzędzie spada na Bolesława Prusa. Źle sobie postąpi, kto do „Złotych ogniw" zabierze się dopiero po „Emancypantkach." Powieść Gomulickiego trzeba koniecznie czytać przed powieścią Prusa, jeżeli się chce otrzymać kilka wrażeń świeższych, głębszych. Podobieństwo niektórych sytuacyj, obrazów, charakterów, a nawet tematów i rozpraw specyalnych, takich np., jak o Bogu i nieśmiertelności duszy, jest za wielkie. Sprawia to zamęt w wyobrażeniach, rozprasza uwagę, podkopuje zaciekawienie, nastręcza porównania, nie podnoszące oryginalności i mocy założeń Gomulickiego, które są nieskończenie więcej, niż u Prusa, zachowawcze i optymistyczne. Panna Kręcikówna z „Złotych ogniw" i panna Howard z „Emancypantek" — prof. Dębicki Gomulickiego i prof. Dębicki Prusa itp., to są kreacye zanadto sobie bliskie, pokrewne, ażeby wolno było słuchać głosu perswazyi, iż nie są wcale sobowtórami, o ogładzonych estetycznie konturach i podmalowanych etycznie intencyach.

Powtóre — zawiodło i zdradziło autora wysłowienie. Styl jego jest niezwykle barwny, do omdlenia kwiecisty, do przesytu gładki, potoczystością swą przytłaczający. Zmęczenie, jakiego wskutek tej krysta-

---

**Ega.**

Jednak trzeba dziś koniecznie odnaleźć panią i uwiadomić, że tu jesteśmy. Chociażbym zginąć miała, zobaczę się z nią.

**Tarlon.**

Dziś odszukam jej mieszkanie. Widzisz? Astjos.

* * *

**Jala.**

Siostra twoja umie kochać! Nie zważała na męża, na ludzi i uciekła do prostego pastucha.

**Astjos.**

Ach, gdybyś zamiast niej ty uciekła!

**Jala.**

Czy wiesz, że bardzo tego żałuję?

**Astjos.**

Ja jeszcze bardziej.

**Jala.**

Na co ty się skarżyć możesz? Że od czasu do czasu przepędzę z tobą kilka dni, kiedy tobie wystarczyłby tylko jeden? Mały kłopot albo żaden. W mizerny sposób drożysz się z sobą i udajesz przesyconego mną, a w rzeczywistości rad jesteś z posiadania ładnej kobiety, którą traktujesz jak niewolnicę. Mnie gorzej: ja gardzę sobą, gardzę moją namiętnością, która mnie upodliła, gardzę nawet tobą, gdy pomyślę, żeś mnie tylko znieprawił. Inny mężczyzna mógłby lepiej zużytkować war krwi mojej.

**Astjos.**

Ręczę ci, że znam najlepsze metody gaszenia tych warów.

**Jala.**

Jesteś zawsze zuchwałym samcem, a ja wierzę, że są szlachetne uczucia, które nigdy nie dotknęły serca mojego, a które w niem by się rozgrzały. Ten Arjos...

**Astjos.**

Może go wypuszczą, niech się kształci.

**Jala.**

Astjosie, wyświadcz mi łaskę,

**Astjos.**

Jaką?

**Jala.**

Cofnij swoje oskarżenie przeciw niemu.

**Astjos.**

Ha, ha, ha, widzę, że istotnie chcesz go zrobić moim następcą! Nie mogę, droga Jalo, bo przyrzekłem sąsiadom, że będę w tej sprawie działał z nimi zgodnie. Czy dziś się zobaczymy?

**Jala.**

Nie.

**Astjos.**

Więc liczę na to. Pamiętaj, żebyś mi nie przeszkadzała, gdy będę się bawił bez ciebie.

* *

**Kobus.**

Pomimo wszystkich waszych oskarżeń, założyłbym głowę, że go obronię.

**Heron.**

Przeceniasz swoje siły. Nie dowiódłbyś, że on nie obalał wszystkich religij w państwie, że nie buntował niewolników, że nie przechowywał u siebie rozbójnika — bo na to są wiarogodne i niewzruszone świadectwa.

**Kobus.**

Szanowny obywatelu, są prawdy starsze i bardziej stwierdzone, niż paplanina głupich bab i kłamstwa opłaconych szpiegów, a jednak rozumny filozof nie uznaje ich za wiarogodne i niewzruszone. Nawet punkt matematyczny można przewrócić na drugą stronę, jeżeli kto umie wziąć się do tego. A cóż dopiero jakieś tam świadectwa.

**Heron.**

Więc według ciebie Arjos nie popełnił tego, za co go uwięziono?

**Kobus.**

Nie przeczę. On mógł połykać góry, ale to nie przeszkadza udowodnieniu, że przez jego gardło przeciskają się zaledwie listki szczawiu. On mógł kraść i mordować, ale to również nie przeszkadza udowodnieniu, że jedynie rozdawał jałmużny i opatrywał rany. Od tego właśnie są zręczni obrońcy.

**Heron.**

Czemuż nie podjąłeś się uniewinnienia go przed sądem?

łowo ciężkiej powierzchni doznajemy, nie byłoby wcale większem, gdybyśmy stanęli przed wielką lustrzaną szybą magazynu i po przez jej rzęsiste, nadmierne, ustawicznie w źrenicy naszej przełamujące się oświetlenie, usiłowali w ciągu siedmiu czy ośmiu godzin dojrzeć, co się tam wewnątrz znajdzie i dzieje. Stanie, zaglądanie, opłaca się wprawdzie — ale jak komu. Przekonywamy się bowiem, żeśmy się znajdowali, że się znajdujemy przed jedynym w swoim rodzaju, iście cudownym zakładem: ci, których pesymizm pozbawił zębów, wychodzą stamtąd ze lwiemi szczękami, inni znów, którym emancypacya podcięła rozum i włosy, opuszczają zakład z długiemi jak u komet warkoczami. Kto chce, niech się łudzi, że włosy te i zęby nie są fałszywe, że je odrodził eliksir miłości, ale tak łatwowiernych niewiele się znajdzie — i z tego względu interes to mały.

*J. T. Hodi.*

## NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

*Wydawnictwa zeszytowe.* Ozdobnie wydana praca P. Chmielowskiego: *Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego* została dokończona w druku (z. II i III); *Samouczek* polsko-francuski P. Reussnera, z. 23—27.

— *Gawędy starego szewca* (odbitka z *Gaz. rzem.*).

— *Bąk*, kalendarz humorystyczny na r. 1896, wydawany przez S. Sadowskiego.

— C. Jellenta, *Spowiedź zbira* (str. 66).

— P. Wizbek, który miał na wystawie ogrodniczej swój kiosk, wydał *Pamiątkę* o niej, zawierającą nieco rad i wskazówek hodowlanych, krótką historyę i statut Towarzystwa ogrodniczego, bibliografię, dotyczącą tej gałęzi i artykuł dr. Fabiana p. t. „Roślina."

— Stacya oceny nasion w Warszawie wydała swe „Sprawozdanie" z czynności od 1 lipca 1893 r. do tejże daty 1894 r.

— W wydawnictwie *Gaz. świątecznej* wyszła powiastka dla ludu *O Marysi sierocie* Z. Kowerskiej (str. 47), nagrodzona na konkursie.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Z NIEMIEC.

(Dokończenie).

Cała prawie literatura w tym zakresie jednogłośnie wytyka smutne skutki pieniężnego wynagradzania lekarza. Ci, którzy nie wrzucili do Lety ideałów swej młodości, gdy serce było pełne wzniosłych zamiarów i rwało się do czynów szlachetnych, miło przypomną sobie zapewne, z jakiem uczuciem wstydu przyjmowali swe pierwsze honoraryа. Spuściwszy oczy i nieco zarumienieni wsuwali prędko do pierwszej lepszej kieszeni zawinięte w papier pieniądze. Jakkolwiek była to suma może niewielka, 2 złote np. miedziakami, uczuwało się coś w rodzaju skrupułów, że zapłacono przysługę, wyświadczoną bliźniemu. Jeszcze obecnie wtyka się lekarzowi do ręki pieniądze przy pożegnaniu w sposób delikatny. W Niemczech jednak bardzo wielu profesorów oświadcza po zbadaniu chorego z największą flegmą prosto z mostu: *ich bekomme 30 Mark.* Dawniej takie postępowanie uważanoby za nielicujące z doniosłą misyą lekarza. Z biegiem czasu przekonano się, iż z sentymentami przy obecnym stanie rzeczy trudno zajść daleko, gdyż czułostkowość wszelkiego rodzaju jest kulą u nóg w pogoni a raczej wyścigu o kawałek chleba. Współzawodnictwo odbiera głos sercu wtedy, gdy ono zaczyna przemawiać przeciwko interesom kieszeni. Od czasu do czasu odzywają się jednak i głosy serca, gdyż pacyenta wiąże z lekarzem niezaprzeczenie pewna nić sympatyi. Węzeł ten jest nielitościwie starganym, gdy miejsce uczucia zastępuje rachuba pieniężna. Lekarz staje się wstrętnym karyerowiczem; gdy mu zbywa na umiejętności, posługuje się blagą; gdy mu brak popularności, ratuje się reklamą. Mieszkanie zwykle jest urządzone z komfortem (opisujemy stosunki niemieckie); czekającym pacyentom lokaj oświadcza z tajemniczą miną, iż pana jego zawezwano do poważnej operacyi. Pan zaś rozbija się powozami i przy spotkaniu ze znajomymi narzeka na brak czasu. Pacyentów olśniewa terminami łacińskimi; udając uprzejmego, traktuje nieco z góry, jako uznana powaga naukowa. W dalekim stosunku lekarza do pacyenta jest tylko wyrachowanie, a niema ani krzty ciepła serdecznego. Reklama wreszcie przenosi się na szpalty prasy. Wszystkie gazety niemieckie są przepełnione ogłoszeniami, w których nieraz pod bardzo przejrzystą osłoną są ofiarowywane najbrudniejsze usługi. W razie podstępu wyzyskana ofiara jest pozbawioną prawa skargi. Niema wprawdzie niezbitych dowodów, aby lekarze posuwali się aż do rozmyślnego przeciągania kuracyi; niema jednak w takiem przypuszczeniu nic nieprawdopodobnego wobec demoralizacyi, która opanowała niemieckie koła lekarskie z chwilą, gdy w świątyni Eskulapa miejsce tego boga zastąpił złoty cielec. Sami lekarze niemieccy wystawiają świadectwo swojej sumienności, przyznają się szczerze do tego, że przyjmując pacyentów u siebie w domu, starają się załatwić ich jak najprędzej. Zbytecznem byłoby dodawać, iż najwięcej cierpią z tego powodu biedni, a tymczasem właśnie w warstwach uboższych choroby sprawiają największe spustoszenia. Słusznem więc jest twierdzenie, iż handlowy, pieniężny charakter zawodu lekarskiego staje coraz więcej w niezgodzie z jego istotą. Materyalne współzawodnictwo w tym zawodzie nadweręża stosunki koleżeńskie, a często wyrządza szkodę pacyentom. W małych miasteczkach niemieckich zdarza się bardzo często, iż lekarz nie chce zawezwać ani dla konsylium ani dla operacyi swego konkurenta, na czem najgorzej wychodzi chory. Lekarze niemieccy używają wszelkich wybiegów, aby wziąć w posiadanie pacyenta i ogrodzić go chińskim murem od swego współzawodnika. W małych miasteczkach rozlegają się skargi na to, iż stróże zdrowia powszechnego zawierają zwykle przymierze z aptekarzem miejscowym przeciwko chorym. Wreszcie odbywa się na wielką skalę wyzyskiwanie łatwowiernej publiczności przez zalecanie różnych metod i środków cudotwórczych. Cóż dziwnego, że ogół udaje się sam wprost do znachorów. Demoralizacya zapuściła tak głębokie korzenie wśród dziatwy Eskulapa, iż minister oświaty zwrócił się do prezydentów pro-

---

**Kobus.**

Bo nie chciał, bo głupi, bo zdaje mu się, że gdy tylko usta otworzy, las stanie się łanem wrzosu, a wilczyca mamką jagniąt. Umyślnie tu przyjechałem, ażeby tego gołębia uwolnić z pod noża, nie tyle przez sympatyę dla niego, bo nie lubię naiwnych ptaków, ale pociągnęła mnie trudność zadania. Odwiedziłem go w więzieniu i zaofiarowałem mu bezinteresownie moją pomoc. Przyjął mnie, jak dobry bóg grzesznika. Dogadać się z nim nie mogłem. Ja mu przedstawiam niebezpieczeństwo i potrzebę ratowania się, a on mi ciągle powtarza jedno, jak kukułka: kochaj, kochaj. Kogo, za co, po co — nie tłomaczy. To jest bzik!

**Heron.**

Przebiegły filut, który bzikiem się przykrył.

**Kobus.**

Więcej ma przebiegłości niemowlę. Uroił sobie, że ludzi zbawi miłością i wtyka ją każdemu, jak słodki migdał. Gdyby świat rzeczywisty leżał na dnie morza, a ktoś mu się przyglądał z powierzchni przez całą głębię wody, widziałby go wyraźniej, niż on. Próbowałem mu przetrzeć zaspane oczy. Daremnie. W końcu żal mi się marzyciela zrobiło, więc zacząłem go przekonywać, że osią życia nie jest żadna miłość, ale samolubstwo. Człowiek powieszony za dwie nogi—mówię mu—ma więcej przyjaciół, niż powieszony za jedną. Szczęśliwy bywa lubiany tylko wtedy, kiedy jego szczęście jest zajazdem, w którym każdy może mieszkać i używać bezpłatnie. Najgorętszy przyjaciel woli leczyć twe rany, niż patrzeć na twe blizny. Pozwalamy innym ludziom żyć dlatego, bo nie możemy zająć całej ziemi i zjeść wszystkich jej pokarmów; okazujemy szczególny szacunek starcom dlatego, że oni już niedługo przeszkadzać będą żyjącym. Życie jest cierpieniem i wstrętem, to też pierwszym głosem człowieka nowonarodzonego nie jest śmiech, ale płacz. Wysłuchał tych moich wywodów, wreszcie rzekł: „Ukochaj wszystkich ludzi, a usłnie ci ten język i wyrośnie inny." „Wszystkich ludzi — odparłem — pomieścić można tylko w mądrości, w miłości zaledwie jednego." „O Kobusie, Kobusio— zawołał z politowaniem— gdyby blacharz uznał niebo za dziurawy dach ziemi, przez który woda deszczowa przecieka, czyżby go bóg wezwał do naprawy swego siedliska?" Jaki to miało związek z moją uwagą — nie rozumiem.

**Heron.**

Może on i waryat, ale szkodliwy.

**Kobus.**

Cóż obecnie mówi twoja żona?

**Heron.**

To, co tylko mnie obchodzić powinno.

**Kobus.**

Podziękuj bogom, że ja nie bronię Arjosa, bo wezwałbym ją przed sąd, ażeby opowiedziała i to, co mnie byłoby potrzebnem.

**Heron.**

Poszukaj sobie innej krętej sprawy, a tej daj pokój.

**Kobus.**

Już znalazłem: przedstawię sądowi w imieniu Skita pewien kwit pożyczkowy z podpisem twego teścia, który podobno o tym swoim długu nic nie wie.

Heron drgnął jak ukąszony i chciał przemówić do Kobusa, ale ten szybko odszedł. W tej chwili odezwały się wołania:

**Głosy.**

— Już idą.
— Sami kapłani.
— Czy tylko oni sądzić go będą?
— Chyba nie.
— Ale jakże oni się pogodzą, kiedy każdy wyznaje inną wiarę?
— Bardzo łatwo, bo Arjos nie wyznawał żadnej.
— Teraz idą urzędnicy.
— I wojskowi.
— O, wielkorządca Protoryi.
— Spieszmy, żeby dostać miejsce.

(D. c. n.).

wincyj z zapytaniem, czy w kołach lekarskich nie daje się odczuwać potrzeba sądów honorowych na wzór tych, jakie mają adwokaci.

W takiem świetle mniej więcej przedstawiają nam lekarze niemieccy swój zawód. Jakież środki zalecają dla wyplenienia złego? Zdaniem jednych, jest konieczną organizacya zawodu na całym obszarze państwa. Nie jest jednak zrozumiałem, jak zjednoczenie samo przez się może zaprowadzić ład w tak smutnych stosunkach. Inni zalecają — i ten projekt wydaje się nam słuszniejszym — rozszerzenie sfery kas dla chorych w duchu bliskim upaństwowienia pomocy zdrowotnej. Lekarz ma się stać urzędnikiem społeczeństwa. Oprócz pensyi, otrzymuje pewną dopłatę od każdej pojedyńczej porady. Myśl ta liczy już dzisiaj w Niemczech bardzo wielu zwolenników, gdyż i w zawodzie lekarskim wytworzyły się z czasem obozy, oparte na różnicy majątkowej. Obok nielicznych magnatów widzimy masę biedaków, z trudnością opędzających swe potrzeby. Jakeśmy widzieli, kasy zwężają zakres praktyki prywatnej, a jeszcze bardziej kliniki. Lekarz zamożny, gruntownie wykształcony, może założyć sobie klinikę i w ten sposób wznieść się odrazu ponad poziom zwykłej praktyki. Ubogiemu pozostaje wprawdzie jeszcze miejsce asystenta w klinice; lecz pędzi on przez to samo żywot najmity, przytem posada taka nie jest bynajmniej chlebodajną. Pensya spada coraz niżej wskutek nadmiaru współzawodnictwa. Usługi swe ofiarują przedewszystkiem wolontarzy, zgadzający się nawet na pewną dopłatę; następnie zaś na każde zawołanie zgłasza się moc studentów, nadzwyczaj mile widzianych w klinikach, gdyż bez protestu piastują tam wszechstronny urząd popychadła. W ten sposób coraz bardziej uszczupla się pole samodzielnego zarobkowania dla lekarza i to właśnie powinno nam objaśnić poniekąd, dlaczego idea upaństwowienia zyskuje coraz więcej sympatyi w kołach lekarskich.

W chwili, gdy otworzono świątynię Marsa dla odprawienia dziękczynnych modłów za zwycięztwo odniesione nad wrogiem przed 25 laty, gdy pierś germańska wzbierała dumą potęgi i wojowniczości, rektor uniwersytetu berlińskiego z okazyi uroczystości, poświęconej pamięci założyciela tej instytucyi, Fryderyka Wilhelma III, przypomniał wykształconemu ogółowi, iż sto lat upływa od wyjścia w świat pracy Kanta „O wiecznym pokoju.“ Filozof, zamieszkujący na niebotycznych wyżynach metafizyki, marzył o sposobach, którymi dałoby się znieść wojnę; praca ta była poniekąd gołębiem, niosącym gałązkę oliwną dla obwieszczenia światu wiecznego pokoju. Kant żądał przedewszystkiem przedsięwzięcia środków, usuwających wszelkie powody do sprzeczek narodowościowych. Należy znieść wojsko, z czego nie wypływa, aby obywatele mieli zaniedbywać ćwiczeń wojskowych. Zaciąganie pożyczek państwowych można usprawiedliwić tylko potrzebami kulturalnemi. Żadne państwo nie powinno się wtrącać do spraw innego. Konstytucya powinna utworzyć związek dla ochrony pokoju. Zawierucha rewolucyjna we Francyi nie skłoniła Kanta do poprawek w poglądach. Nie był on jednak pewnym, czy tego rodzaju związek kosmopolityczny nie nadweręży wolności państw pojedyńczych. Rektor Pfleiderer, chcąc być w harmonii z nastrojem ulicy w chwili bieżącej, wyraził przypuszczenie, iż Kant, gdyby dożył do wojen napoleońskich, dałby się wraz z Fichtem nawrócić na wiarę bezwzględnego patryotyzmu. Doszedłby, podobnie jak Leibnitz, do wniosku, iż wieczny pokój byłby ciszą cmentarną dla ludów europejskich. Kant nie podzielał poglądu, że konieczność wojny opiera się na jakiejś głębszej przyczynie; mniemał, iż w danym razie rozstrzygała tylko wola osób panujących. Mowa rektora Pfleiderera była zakończona wiwatem na cześć obecnego pokoju zbrojnego i wyrazami zachwytu dla użyteczności wojska, które uzupełnia naukę szkolną, przyzwyczaja niesforną młodzież do posłuszeństwa i porządku. W chwili obecnej, gdy ślepe zginanie karku pod jarzmo tradycyi wychodzi z mody, wojsko, zdaniem rektora, w postaci wyższego, a nawet najwyższego zakładu naukowego, może oddać usługi nieocenione. W ten sposób rektor chciał dowieść światu akademickiemu i laikom, jak głęboko odczuł swem sercem wzniosłe marzenia Kanta o pokoju wiecznym...

# W HOLANDYI.

## II.

Rotterdam.

Są miasta, nieposiadające w swoich murach ani jednego pomnika, któryby zdołał zapanować niepodzielnie nad wyobraźnią przybysza, ani jednej pamiątki imiennej, a przecież można w nich spędzić tygodnie i zawsze mieć coś tam do oglądania, i zawsze znajdować przyjemność w błąkaniu się samopas po zaułkach. Do takich grodów należy Rotterdam. Mój *Mattheson*, przewodniczący mi w podróży, podaje radę najpraktyczniejszą, którą możemy tak streścić: idź pomiędzy uliczki, dokąd cię nogi same zaprowadzą, i przyglądaj się wszystkiemu, co ujrzysz. Zaprawdę, najmądrzejszy to środek zapoznania się z osobliwościami Rotterdamu.

Miasto jest poprznięte siecią kanałów, wlewających swoje wody do nurtów Maasu. Malcy siedzą na poręczach mostu, jak na koniu, palą cygara i łapią ryby, powierzchnia wody pokryta łodziami i statkami różnej wielkości, na rzece, po nad którą prowadzą olbrzymie żelazne mosty, aż czarno od masztów. Na ulicach gwarno, ludziska tłumnie spieszą w tę i tamtą stronę, ale mimo tłoku wszystko odbywa się, jak powiedzianoby w Niemczech, *gemüthlich*, wszędzie widać wzorową czystość, nawet domy, pomalowane farbą olejną, mówią wyraźnie, że troskliwa ręka bolendra myje je od czasu do czasu. Mury czyste, klamki u drzwi błyszczą, na chodnikach czyściutko jakby w salonie, z okien wyglądają doniczki kwiatów. Pomiędzy właściwym brukiem a chodnikiem nie ma wyraźnego przedziału, gromadki przechodniów idą bez ceremonii środkiem ulicy, wązki trotuar odróżnia się jedynie tem, że na nim inaczej ułożono kamienie. Ulice wiją się wzdłuż kanałów, domy wychodzą tu i owdzie wprost z wody i pomiędzy dwoma rzędami równolegle idących budynków płynie arterya rzeczna, nad nią zaś zwieszają się ospale krużganki, balkony i inne rynsztunki architektury średniowiecznej. Są one, tj. ulice, zwykle bardzo wązkie, nieraz tak wąziuchne, że można je wziąć za zaułki. A im która jest węższą i mniej prawidłową, tem gwarniejszem tętnem życie tam bije, w tym przyodziewku średniowiecznym. Domy wysmukłe a wysokie, każdy front innej struktury, każdy dach odmiennie spięty, nawet okna i drzwi posiadają własną a odrębną fizyognomię. Duch średniowieczny zakrzepł w tych murach, tak samo wązki i ciasny, jak te budynki, ale równie oryginalny i różnobarwny. Życie płynęło ongi płytkiem korytem, mieściło się w ciasnych i ciemnych izdebkach, wyglądało na świat przez maluchne okienka, lecz bądź co bądź, człowiek siedział na własnem śmietnisku i każdej chwili mógł dać folgę swojej fantazyi: był panem strzechy, pod którą mieszkał, i kiedy fanaberya przyszła mu do głowy, przyozdabiał ją po cudacku i przeplatał ostro sklepienia półkolami; siadywał na własnym ganku i rzeźbił jego kształty w linie łamane, pełne indywidualizmu. Gdy wyjeżdżał z murów miejskich, to jechał własnym wozem, stawał na popasach tak długo, jak mu się podobało. Słowem, dawny rotterdamczyk posiadał wolną wolę, nad nim nie ciążył ów przymus bezimienny, który rozpostarł się nade mną i posiada pozory siły przyrodzonej, nieodzownej. Jadę koleją: tam mi wyznaczono marszrutę, wywieszono taksy i taryfy, podano chwile posiłku, który spożywać muszę z zegarkiem w ręku. Mieszkam na komornem w cudzym domu — zbudowano go według wyliczeń inżeniera, który dbał tylko o jedno, mianowicie, ażeby wznieść mury z najmniejszym kosztem, otrzymywać zaś z nich jak najwięcej dochodu. Mnie, mieszkańcowi wynajętego lokalu, zaledwie wolno wbić tam haki, gdzie mi się podoba. Przymus zawsze i wszędzie, nie wypływający z czyjejś samowoli, ale tkwiący w samem życiu, w wolnej konkurencyi, która przecież stanowi na pozór negacyę wszelkiej niewoli! Moja wolna wola znika w pętach żywiołu społecznego! Nie pragnę bynajmniej roztrząsać tutaj pytania o naturze naszej woli, ani wdawać się w zaciekania metafizyczne; zaznaczam tylko, że błąkając się po zabytkach wieków średnich, czuję, że przebywając z pokoleniami, które tam pędziły żywot, byłbym wyznawcą doktryny o wolnej woli, że otoczenie nowoczesne zatruwa mój mózg swoimi wpływami i z dnia na dzień, z godziny na godzinę podsuwa mi swoją filozofię,— filozofię przymusu, determinizmu, ba nawet fatalizmu.

Błąkam się bez celu po zaułkach Rotterdamu, zaprzątam swój umysł zagadnieniami filozoficznemi i podsłuchuję, czy do ucha nie doleci jakiś szmer wieków ubiegłych, o których wiem przecież, że utonęły bezpowrotnie w bezdennej przepaści czasu. Wązkie to było i płytkie życie! Indywidualność nie była wprawdzie spętaną przez żywiołowe potęgi społeczne, ale natomiast czyhały na nią tysiące ócz i podglądały każdy szczegół cudzej duszy. Jeszcze obecnie, na upartego, można w oknach, wzdłuż framugi, ujrzeć wysokie lusterka. Są one tak ustawione, że ktoś siedząc w pokoju zupełnie niewidzialny dla przechodniów może jednak obserwować ich ruchy i widzieć każdego gościa, pukającego do drzwi sąsiadów. Organizacya to wzajemnego szpiegowania, gwoli próżnej ciekawości... Cicho na ulicy i pusto, ani jednej głowy w okienku, a przecież nic tam nie ukryło się przed okiem, czatującem w ciszy. Oddzielny dom był świątynią, której progów nikt nie przestąpił samowolnie, lecz przeciwko której wszystkie sąsiednie okienka były uzbrojone. Skradziona tajemnica przechodziła po cichu z ust do ust, przemycana przez babskie języki, aż wreszcie przy kieliszku wymykała się z ust męskich i stawała się źródłem długoletniej waśni, może nawet bójki...

Inne życie wre dzisiaj w tych murach. Nowocześni ludzie, ubrani w swego rodzaju mundury, — przyodziewek tego samego fasonu, nie pasują do różnobarwnej mozajki murów i cudackiej swawoli skrętów i kątów. Natomiast harmonijnie a wdzięcznie na tło staroświecczyzny odbijają gromadki wieśniaczek w białych czepcach na głowie, z błyszczącemi blaszkami metalicznemi lub drutami skręconemi spiralnie a wystające nad bokami czoła. Dzisiejszemu rotterdamczykowi musi być niezbyt wygodnie w domu średniowiecznym, który powstał był z innego ducha i odpowiada zgoła innym potrzebom. Swoją drogą zamieszkał on w siedzibach dziadów i tylko na krańcach miasta wzniósł nowe budowle. Kiedy Anglia popłynęła dalej z potokiem życia przemysłowego, jej współzawodniczka, Holandya, tymczasem pozostała na dawnem miejscu. Stare mury wy-

starczają dla pomieszczenia obecnego gwaru...

* * *

Vliessingen.

Po paru miesiącach znowu jestem w Holandyi. Siedzę na dworcu w Vliessingen oczekując na pociąg, który zawiezie mnie do Haagi. Po kurzu londyńskim tembardziej podziwiam czystość holenderską.

Sale, zwłaszcza przeznaczona dla dam, lśnią się i uśmiechają swoją czystością, służba jakby mówiła: patrzcie, jak dbamy o to, ażeby wam na talerzach nie podawać brudu, nawet kamienna posadzka, która ciągnie się wzdłuż toru kolejowego, dopasowała się do reszty. Z czystością o lepsze walczy uprzejmość: konduktor zbliża się do każdego i uwiadamia, że odchodzi taki to pociąg, a jeżeli ktoś się nie podniesie, wtedy zapytuje, dokąd on jedzie, ażeby powtórnie podejść we właściwym czasie. Pierwszy lepszy pasażer, widząc żeś cudzoziemiec i dowiedziawszy się, że jedziesz do tego samego miejsca, ofiaruje swoje towarzystwo, z niem zaś informacyę. Po zgiełku wielkomiejskim, gdzie każdy dbać musi o siebie, taka grzeczność wygląda na sielankę. Była ona przewybornym wstępem do widoków, jakie w ciągu dni paru wypadło nam mieć bezustannie przed oczyma.

Czekaliśmy nie długo na pociąg, który powiózł nas przez wyspy, składające Zelandyę. Przed okiem roztoczył się zwykły krajobraz holenderski. Starannie utrzymane łąki, otulone jeszcze mgłą poranną, na nich bydło, przestrzeń pokrajana jako szachownica przez wązkie smugi wody, domki czyściutkie, drożyny wiejskie, czyniące wrażenie chodników i wysypane żwirem i piaskiem, wysokie tamy wzdłuż szerszych kanałów. Brudu, zielska i bagnisk ani poświeć. Okolica swoją powierzchownością mówi nam o wiekowej kulturze ziemi, o pracowitości i systematyczności, o wytrwałości i zamożności mieszkańców. Niebawem ukazały się pola orne, które jeszcze wyraźniej świadczą o posuniętej cywilizacyi. Zdawało mi się, że mam przed sobą zagony amatorów, którzy nie szczędzą wysiłków, ażeby nadać swojemu majątkowi powabną powierzchowność. A przecież to były tylko zwykłe osady gospodarskie!

* * *

Miasteczko Middleburg.

Z daleka można byłoby je wziąć za gaj, tyle drzew dokoła. Świątynia, struktury gotyckiej, wystrzeliła wyniosłą wieżycą ponad budynki miejskie, domy równie mają w sobie coś z gotyku, tak samo bowiem są ostro spięte. Wszystko murowane, czyste aż do przesady, pełne spokoju. Na dworcu kilka holenderek wsiada do pociągu. Olbrzymie białe czepce przylegają szczelnie do włosów, niby czapeczka, z obu stron czoła zwieszają się z niego kwadratowo blaszki złote i lśnią w promieniach słońca. Cera biała, twarz pulchna, tryskająca zdrowiem. To bogate mieszczki Middleburga oczekują na pociąg, wystrojone według mody miejscowej, zelandzkiej. Instynktem kobiecym czują, że w tym prostym kostiumie więcej im do twarzy, aniżeli w błazeńskim kapelusiku, który, wynaleziony przez wielkomiejską heterę, w ciągu sezonu odbędzie podróż po całym „cywilizowanym“ świecie i wszędzie nałoży zdawkowe piętno szablonu. Pociąga mnie ta obojętność dla mody, ściślej, ten brak trzodowego naśladownictwa, każącego wszystkim krowom podnieść do góry ogony, gdy któraś na przedzie to uczyni. Wątpię, czy w naszej Kiernozi znalazłaby się pani aptekarzowa, któraby ośmieliła się w stroju ludowym siąść do wagonu i jechać do Warszawy. A przecież kolej, którą jedziemy, jest jedną z wielkich arteryj międzynarodowego obrotu soków społecznych...

Miasteczko pozostało za nami. Ciągną się sady, podobnie czyściutkie, wypielęgnowane. Każde drzewko nosi na sobie ślady troskliwej dłoni, każda dróżka w ogrodzie wygląda odświętnie. Przypomina mi się czyjś żart, że holendrzy co tydzień myją nawet swoje zegary.

* * *

Wioska. Środkiem biegnie droga, równa i gładka, z obu stron rzędy domków parterowych, cegła w murze tak misternie ułożona, iż podobnych wzorów nie powstydziłaby się najpierwszorzędniejsza ulica Warszawy. Holandya jakby usiłowała przekonać cudzoziemców, że w naturalności i czystości tkwi sporo piękna. Tutaj, na tej nizinie, poprzerzynanej wodami, przyroda nie roztoczyła po za chatami amfiteatru gór, piętrzących się coraz wyżej, ani nie rozwiesiła błękitu i promieniom słońca nie dała jaskrawej gry kolorów. Przeciwnie, obeszła się z nią po macoszemu. Mgły jakby dymem pokryły niebo; ucywilizowane przez pracę ludzką bagnisko służy za tło dla krajobrazu, słońce rzuca na ziemię przyćmione blaski, a jednak wzrok nie może oderwać się od widoków—powiedzmy wyobraźnia, bo wioska utonęła już w przestrzeni, przed okiem zaś ściele się inny krajobraz, mówiący o tem, czem ongi była bardzo znaczna część Holandyi.

Wody morskie odpłynęły na parę godzin, pozostawiając po sobie przestrzeń, która zarówno nie jest ani lądem, ani morzem. Zatoka to lepkiego mułu, w którym można utonąć, jak w bagnie. Płytkie strumyki leniwie płyną po powierzchni, która podczas przypływu zamieni się na dno odnogi, otoczonej zielonym kobiercem łąk. Cały pas nadmorski Holandyi, jako też przestrzeń, zawarta pomiędzy rękawami Renu, była niegdyś widownią takiej walki pomiędzy dwoma żywiołami. Urocze łąki, którym przyglądam się z okien wagonu, były wtedy bagniskiem, porosłem trzciną i tatarakiem, zalewanem przez powodzie rzeczne i przypływy morza, podziurawionem przez kałuże stojącej wody. Holendorczyk powoli wydzierał swoję ojczyznę tym panom. Walka o ziemię przechodziła z pokolenia na pokolenie, ciągnęła się z dnia na dzień. Trzeba było dosłownie zdobywać każdą piędź łąki. W ciągu wieków osuszano zagon po zagonie, sypano groblę po grobli, kopano kanał po kanale — coraz głębiej i dalej śród bagien. Ojciec, umierając, przekazywał synowi swoje zabiegi, który dalej prowadził dzieło przodków: wzmacniał pozostawioną tamę, pogłębiał kanał, podnosił kulturę odziedziczonego kawałka łąki. Aż wreszcie powstała olbrzymia sieć kanałów i grobli, trzymająca na wodzy niesforne wody. Wtedy zamiast wysiłków indywidualnych, centralizacya państwowa stanęła na straży bezpieczeństwa narodowego. Ale nim do tego doszło, upłynęły wieki, które wyryły swój ślad głęboko w naturze mieszkańca tych nizin. Dawny fryzyjczyk był zwykłym barbarzyńcą: gwałtownym, niechlujnym, nielubiącym systematyczności. Osiadł przy ujściu Renu i zamknięty w tej siedzibie przez plemiona ościenne, musiał się poddać konieczności, tj. rozpocząć walkę z żywiołem wodnym, która przechodząc z dziadów na wnuków, zmieniała narowy, przeinaczała charakter, kształciła wolę i cierpliwość. Holandya jest dziełem holendra, lecz on sam i jego psychika są dzieckiem zapasów wiekowych z krnąbrnemi wodami Renu i z bagniskami nadmorskiemi.

*K. R. Żywicki.*

## JAN KLECZYŃSKI.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Z pola artystycznego ubył pracownik cenny i pożyteczny, jako pianista, kompozytor, pisarz, nauczyciel i — zacny człowiek. Śmierć go strawiła przedwcześnie, w wieku, który zazwyczaj pozwala jeszcze całą pełnią czerpać energię i darzyć społeczeństwo jej płodami. Jan Kleczyński urodzony r. 1840 w Lublinie, studya odbył w Paryżu. Będąc młodzieńcem, już zwracał uwagę powszechną niepospolitem wirtuozostwem, a następnie kompozycyami. Był on wielkim miłośnikiem i znawcą Chopina, rozumiał go doskonale, bo grał tak pięknie i subtelnie jego nokturny, mazurki i preludya, jak tylko może grać artysta, któremu udało się zajrzeć do głębin ducha wielkiego mistrza. Utwory Chopina, wykonywane przez Kleczyńskiego, dziwnie silne wrażenie robiły na mnie. Bo też ukochał on bardzo twórcę tych pięknych pieśni. Przez całe życie poszukiwał promyków i śladów jego twórczości, a owocem tej pracy były wyczerpujące studya, wydane po polsku, a w części i po francusku. Jako kompozytor, pozostawił sporą wiązankę utworów fortepianowych wokalnych, które zyskały wielkie powodzenie i popularność. Kleczyński odznaczał się wytrawnością i sumiennością sądu. To też krytyki jego należały do najlepszych w dziale sprawozdawczym prasy naszej. Owocem działalności nieboszczyka było między innemi stworzenie *Echa muzycznego*; był on także jednym z założycieli Towarzystwa muzycznego. Jemu wreszcie, jako pedagogowi, zawdzięczyć należy sporą gromadę zdolnych muzyków naszych.

*p.*

# PAMIĘTNIK.

### Odznaczenia.

Zgodnie z przyjętym u nas zwyczajem, wszyscy uczestnicy wystawy ogrodniczej otrzymali nagrody, różniące się tylko stopniem. Najwyższą przyznano Hoserom — „honorowy dyplom zasługi.“ To wyróżnienie starej i bardzo poważnej firmy było słusznem nietylko ze względu na jej długoletnią przeszłość, ale także ze względu na obywatelską pomoc we wszystkich wystawach Towarzystwa oraz na jej usunięcie się innym z drogi współzawodnictwa do nagród. Hoserowie bowiem wszystkie swoje okazy wystawili po za konkursami, ażeby nie przeszkadzać młodszym. Dyplom zasługi za prace naukowe otrzymał p. Jankowski, a największą ilość medali, począwszy od złotego wielkiego do srebrnego małego, p. Ulrich. Dalej w odznaczeniach idą: hr. Zamojski, Siwecki, Brzozowski, Poznański, Siedlecki, Jezierski, Jałoszyński, Łuszczewski, Albrycht, Kronenberg, Szanior, Flora (bukiety), Chrzański (plany) i inni. Rzekliśmy, że nagrodzeni zostali wszyscy; właściwie zrobiono jeden wyjątek. Zwiedzający wystawę prawdopodobnie zauważyli kilkadziesiąt talerzyków, na których leżały takie owoce, jakich nawet żydowscy sadownicy nie sprzedają po odpustach. Były to poprostu najmizerniejsze i zwiędłe spadki. Szczególny ten „dobór“ pozostał do końca wystawy bezimiennym, gdyż jego właściciel spostrzegłszy, z czem mierzyć się będzie, wolał nie odsłaniać swej maski. I dobrze uczynił, ale nie pojmujemy, jak on mógł przypuszczać, że tego rodzaju owoce gdziekolwiek zasługiwałyby na pokaz, zwłaszcza gdy jest kierownikiem... szkoły ogrodniczej. Zaiste, wyjątkowa naiwność.

### Świadectwo ubóstwa.

Gdy indyanie amerykańscy zabijają niedźwiedzia, malują mu głowę farbami, klękają przed nim i proszą: „kochany wujku, przebacz nam przykrość, jaką ci wyrządziliśmy i nie pamiętaj o niej.“ Tych indyan i ich czułość my przypominamy często w naszych staraniach o szczęście zwierząt. Jedząc pieczeń lub szynkę — którychbyśmy za nie się nie wyrzekli — lejemy łzy nad okrutnem obchodzeniem się rzeźników ze swemi „ofiarami.“ Ale ponieważ miłosierdzie nad tymi, których się zjada, jest nieco kłopotliwe, więc zwróciliśmy je przeważnie do niezjadanych — koni, psów i kotów. Właśnie w celu zebrania funduszu na lecznicę dla nich odbyła się zabawa muzykalno-kwiatowa w Dolinie Szwajcarskiej. Zdaje nam się, że Ben-Akiba powiedziałby o niej: nie, tego jeszcze na świecie nie było. Bo zauważyć trzeba, że zwierzęta domowe nie są istotami pozbawionemi opieki, a ich życie i zdrowie nie posiada wartości tylko dla nich. Są one przecie własnością człowieka, który z nich ciągnie korzyści i któremu wiele zależy na tem, ażeby je utrzymać w dobrym stanie. Jeżeli żadne społeczeństwo nie zakłada dobroczynnej kuźni dla naprawy pługów i wozów, ani dobroczynnej cerowalni dla naprawy odzieży, ani dobroczynnej stolarni dla naprawy sprzętów, bo każdy w swoim interesie musi się o to starać, to należałoby również mniemać, że niepotrzebna jest dobroczynna lecznica dla zwierząt, gdyż również każdy ich właściciel ponosić będzie koszty i trudy około ich zdrowia. Tak by wnioskował zdrowy rozsądek. Ale nas jego logika nie obowiązuje. My rozumujemy tak: jeżeli komuś zepsuje się pług, wartujący 6 rubli, to gospodarz oddaje go do kowala i płaci za reparacyę. Ale jeżeli komuś zepsuje się koń, wartujący 50 lub 100 rs., to gospodarz nie odda go do weterynarza. Skutkiem tego dla chorych a biednych zwierząt trzeba założyć... lecznicę dobroczynną. Rzeczywiście, trudno byłoby znaleźć wymowniejsze świadectwo ubóstwa umysłowego i ekonomicznego dla społeczeństwa nad ten sentymentalny koncept. Że ono nie ocenia wartości poety, artysty, pedagoga i że albo skazuje ich na głód, albo urządza dla nich przytułki, to da się jeszcze wytłomaczyć niedojrzałością cywilizacyi. Ale przecie chyba nie istnieje tak niski poziom kultury, w którymby człowiek nie oceniał wartości wołu lub konia. Więc co tu ma do roboty dobroczynność? Dlaczego sprawa leczenia zwierząt nie oprze się na interesach jednostkowych i musi być załatwiana kosztem ofiar społeczeństwa? Czyż taka lecznica, umiejętnie prowadzona jako przedsiębiorstwo prywatne, nie opłaci się tam, gdzie cały ogół znaczną część swego materyalnego dobra widzi w zwierzętach użytkowych? Doprawdy, chyba my przesentymentalizowaliśmy się i już nam zbrakło innych pomysłów do kwesty i urządzania zabaw muzykalno-kwiatowych.

### Wyjaśnienia.

Odbieramy z Krakowa list następujący:

Szanowny Redaktorze!

Nie znam dokładnie przebiegu wielu kwestyj, poruszanych przez Waszego korespondenta z Galicyi, ale jeżeli wszystkie, a choćby tylko większa ich część była przedstawioną w sposób tak niezgodny z prawdą, jak kwestya katedry okulistyki, to istotnie korespondent zasługuje na te ostre zarzuty, o jakich wspomina, że go spotykają.

Jako blizko obeznany ze sprawą tej katedry, mogę przedstawić, jak się rzecz istotnie miała.

Po śmierci prof. Rydla wydział lekarski, jak zwykle, rozesłał zaproszenia o przyjęcie katedry do wszystkich znanych okulistów, mieszkających w kraju i za granicą. Pomiędzy innymi do najpierwej zaproszonych należał dr. Gałęzowski z Paryża. Na zaproszenie odpowiedział zgodą, z warunkiem wykładania tylko w ciągu jednego półrocza. Jakkolwiek warunek ten był trudnym do przyjęcia, wydział lekarski natychmiast odpowiedział, że się zgadza i że poczyni kroki u rządu, ażeby usunąć przeszkody, jakie z tej strony stawiane być mogły. Gdy zdawało się już, że sprawa została załatwioną i młodzież uniwersytecka, dowiedziawszy się o tej decyzyi, wysłała adres dziękczynny, dr. Gałęzowski przysłał drugi list, w którym pisze, że zaszło nieporozumienie, że może wykłady prowadzić tylko we wrześniu i październiku (podówczas są wakacye w Krakowie), że w innym czasie pobyt jego w Krakowie jest niemożliwy ze względu na liczną klientelę paryską itp., że wreszcie gotów jest przyjąć zaszczytny tytuł „honorowego profesora.“ Oto mniej więcej wszystko. Czy więc wydział mógł przyjąć podobną propozycyę? Czy wobec tego nie należało przed napisaniem korespondencyi poinformować się u źródła, co było łatwem, jeżeli autor mieszka w Krakowie?

Proszę przyjąć wyrazy poważania

Prof. *O. Bujwid.*

Drugie wyjaśnienie z innej strony dotyczy nagany dla wydziału filozoficznego we Lwowie. Zdaniem korespondenta, wydział po raz pierwszy stanął na wysokości swego zadania, gdyż powołał na katedrę filozofii — filozofa, docenta wiedeńskiego, Twardowskiego, autora kilku cennych monografij. Dotychczas w Galicyi wybierano na tę katedrę ludzi, zajmujących się filozofią ubocznie: Pawlickiego — księdza, Czerkawskiego — polityka, Straszewskiego — spekulanta i polityka, Raciborskiego i Skorskiego — obywateli ziemskich. Nadto — według korespondenta — p. Raciborski zrzekł się profesury nie dla pobudek idealnych, ale dlatego, że stracił siłę, popierającą go w karyerze.

### Historya plotki.

Że we wszystkich niewyjaśnionych publicznie zbrodniach lęgną się bakterye plotkarstwa, objaw to znany, zwłaszcza w Warszawie, posiadającej ten chwalebny przymiot, że słowo, które z jednych ust wyszło komarem, z drugich wychodzi wielbłądem. Przewidywaliśmy też obfity rozrost owych bakteryj, gdy w tajemniczy sposób zamordowany został przed tygodniem znany przemysłowiec. Ale stała się przytem niespodzianka. Pewne pismo w życiorysie zabitego uwydatniło jego niesnaski, ostre starcia i zatargi ze wspólnikiem. Odsłonięcie tej waśni albo nie miało żadnego celu i sensu, albo mogło zmierzać do wskazania osób, którym zamordowany życiem przeszkadzał a śmiercią dogodził. Sądząc wszakże ten występ znajomością taktu i miary naszych piór reporterskich, uważaliśmy go po prostu za jeden z owych niezliczonych wybryków lekkomyślności, którymi one ciągle grzeszą. Nie wątpiliśmy przytem ani chwili, że plotka tę gorzką jagodę wyssie. I wyssała. Niewinnego człowieka osnuto pajęczyną podejrzeń, „wiarogodnych informacyj,“ słowem paskudnych oszczerstw. Dotąd wszystko w porządku, ale nagle pojawia się niespodzianka. Pismo, które dostarczyło pokarmu plotce, skarciło ją surowo i napomniało jej roznosicieli. Biedna plotka oniemiała ze zdumienia. „A po cóż było pisać — pyta ona — o złych stosunkach, kłótniach i walkach między zabitym i żyjącym wspólnikiem? Jeśli ja na takiem podłożu rodzić się nie będę, to chyba muszę zniknąć ze świata zupełnie.“ No, przyznajmy, że ona ma trochę racyi.

### Humor cielęcy.

Pod tym tytułem pisze do nas jeden z czytelników:

„*Kuryery* nasze mają swój styl i swój sposób traktowania ludzi i rzeczy, który czasem gniewa, czasem śmieszy, a prawie zawsze dziwi. Puszcza się to mimo uwagi i pamięci, ale niekiedy przypomnieć trzeba, że nawet czytelnicy pism brukowych miewają wykształcenie, smak i poczucie przyzwoitości, których obrażać nie należy. Niedawno w jednym z dzienników tego rodzaju znalazłem wiadomość, którą tu dosłownie przepisuję:

Z miasta. Nieprzyjemnie jest obchodzić środkiem ulicy przed domami, które zmieniają sukienkę... ale o wiele jeszcze nieprzyjemniej, idąc sobie spokojnie ulicą, *dostać w łeb* kamieniem. Zdarzyło się to „jednemu panu“ wczoraj na rogu Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia, gdzie odnawiany dom jest tylko z jednej strony odgrodzony. Szczęście, że kamyk z dachu trzypiętrowego domu lecący, był niezbyt duży, *a łeb „jednego pana“ był twardy.* Skończyło się na guzie!

Wątpię, czy ktokolwiek, oprócz reportera, znalazłby w tym wypadku powód i materyał do drwiny. Kpić z człowieka, któremu na głowę spadł kamień, nazywać go ironicznie „jednym panem,“ pocieszać się, że miał „łeb twardy,“ to chyba szczyt... cielęcego humoru.“ *P. W.*

### Domy warszawskie.

Z wielu *interwiewów* najciekawszy w sezonie przedjesiennym odbyło *Słowo.* Postanowiło ono zbadać tajemnicę drożyzny mieszkań warszawskich i oto jak kreśli obraz warunków na podstawie rozmowy z człowiekiem, świadomym rzeczy: Spekulant, posiadając np. kilkanaście tysięcy rubli, zakupuje plac za dobrą cenę. Część umówionej wartości płaci natychmiast gotówką, resztę zapisuje na hypotekę przyszłego domu i od tej reszty, zupełnie zabezpieczonej budowlą, zobowiązuje się płacić procent, zadawalający sprzedawcę placu. Postarawszy się o sporządzenie planu i zatwierdzenie go przez władzę, szuka odpowiednich majstrów mularskich, ciesielskich itd. i przystępuje jak najspieszniej do stawiania kamienicy. Robotnik musi być płacony niezwłocznie. Jakoż spekulant, rozporządzający jeszcze pewną częścią kapitału, gdyż zaliczenie na plac nie pochłonęło wszystkiego, płaci początkowo bez żadnych trudności. Później wszakże, gdy robota już w pełnym jest biegu, zaczyna grosza brakować. Wtedy udaje się przed dniem wypłaty tygodniowej do panów majstrów, czyli przedsiębierców roboty, zwierza im się z chwilowemi trudnościami pieniężnemi, a ci nie chcąc, aby robota uległa przerwie, zgadzają się żyrować weksle, wystawione przez właściciela budującej się kamienicy. Takąż samą przysługę oddaje między innymi dostawca cegły. Wszystkie te obroty kredytowe sprawiają, że dom buduje się znacznie drożej, niż gdyby do tego przystępował człowiek zasobny. Wreszcie po upływie roku dom jest gotowy i lokale w nim poodnajmowane za kontraktami. W umowach, zwłaszcza na lokale obszerniejsze i sklepy, podane są bardzo pokaźne ceny. Teraz już tylko jedno pozostaje do zrobienia: sprzedać kamienicę jak najprędzej. Dzięki wysokim czynszom zakontraktowanym, nietrudno znaleźć nabywcę, zwłaszcza między właścicielami ziemskimi, pragnącymi dla jakichkolwiek powodów zamienić nieruchomość ziemską na miejską. Spekulant ma na to „pośredników,“ żeby mu wynaleźli kupca. Nie czeka też długo. Kamienica to przecież złoty interes dziesięć procent daje napewno. Nie trzeba też płacić całego szacunku. Pożyczka Towarzystwa kredytowego miejskiego ułatwia kupno.

Nowonabywca wchodzi w posiadanie kamienicy, z której najlepsze czynsze są już pobrane i pokwitowane na rok z góry, o czem zresztą jest uprzedzony przy kupnie. Tę zwłokę w pobieraniu dochodów jakoś przecie można przeczekać. Cóż, kiedy na pół roku przed upływem terminu przychodzi kupiec korzenny z parteru, jeden, drugi, trzeci poważniejszy lokator z pierwszego piętra, drugiego — wszyscy oświadczają zgodnie, że mieszkanie swoje

przepłacili; że muszą się go zrzec, albo jeśli pozostaną, to z warunkiem zniżenia komornego. Teraz ów złoty interes, mający przynosić po dziesięć od sta rocznie, zaczyna ciążyć ołowiem. Jednocześnie ze stratą czynszów przybywają wydatki, tu podłogi się wichrzą, tam drzwi i okna nie pasują, owdzie ukręciła się klamka—naprawy musi ponosić nowy właściciel który teraz już sam szuka „pośredników," dobrze sobie znajomych, żeby przy ich pomocy—nie bezpłatnej—pozbyć się tego złotego interesu, najzwyklej drogą zamiany na inny. Na takich interesach szybko topnieje majątek byłego ziemianina. Chcąc cokolwiek jeszcze ocalić, zbywa dom lichy. Tym sposobem przechodzi on z rąk do rąk, jak moneta fałszywa, której nikt nie chce zniszczyć, a stara się ją wpakować komuś nieuważnemu. Ale w tej ciągłej zmianie właścicieli, kamienica coraz mniej się opłaca. Tandeta tu i owdzie swojem szydłem robi dziury, które należy załatać. Na pokrycie tych wszystkich wydatków pozostaje jedyne źródło: podniesienie komornego. Skutkiem tego dwa lub trzy lokale stoją przez długi czas puste, a właściciel, chcąc powetować swą stratę, podnosi ceny jeszcze wyżej w takim stosunku, ażeby ogólna suma pokryła straty z mieszkań niewynajętych. Źródło drożyzny jest zatem widoczne: dopóki nie znajdzie się sposób ukrócenia spekulacyi w budowie i sprzedaży domów, póty mieszkańcy Warszawy będą musieli płacić tak wielki haracz za liche i niewygodne mieszkania.

## W DALI.

**Łódź.** Wykryto nowy rodzaj spekulacyi przy budowie domów. Jedno z miejscowych towarzystw akcyjnych wzywa zazwyczaj różnych budowniczych do opracowania planów i kosztorysów. Następnie wybrawszy najlepszy, daje według niego robotę nie autorowi pomysłu. Tym sposobem ciężka praca techniczna jest wyzyskiwana zupełnie bezpłatnie.— Do fabryk łódzkich nadejdzie wkrótce pierwszy transport bawełny egipskiej, obecnie najtańszej. — W dziedzinie tandety ruch ogromny: kupcy z Cesarstwa zamówili w Łodzi znaczną ilość tanich i lichych ubrań męzkich, wobec czego krawcy nie mogą podołać nawałowi pracy.

**Żytomierz.** *Wołyń* donosi, iż postanowiono przenieść sąd okręgowy z Łucka (gub. wołyńskiej) do Winnicy, g. podolskiej, która ma dotychczas jedną taką instytucyę w Kamieńcu, niemogącą podołać potrzebom miejscowym. — Roboty około budowy kolei z Żytomierza do Berdyczowa postępują szybko. W Żytomierzu wszystkie budynki stacyjne są już prawie zupełnie ukończone. Obecnie budują tam studnię, która ma dostarczać wody do lokomotyw, oraz magazyny towarowe. Na stacyi Kodnia budynki są już pod dachem; obecnie budują już magazyny towarowe. Roboty na linii prowadzone są w kilku miejscach równocześnie. Mosty, a w ich liczbie kodeński, grajewski i śniegórski, są prawie zupełnie wykończone, mniejsze będą gotowe niezadługo. Na całej linii będzie ogółem 28 mostów, długość zaś linii dosięgnie 49 wiorst. Telegraf na tej całej przestrzeni już przeprowadzono. Roboty w Berdyczowie rozpoczęto dopiero w tych dniach, gdyż trudno było doprowadzić do skutku porozumienie pomiędzy budującymi kolej Berdyczowsko-Żytomierską a zarządem kolei Południowo-Zachodnich. Obecnie rozpoczęto już roboty ziemne oraz układanie szyn i budowę dojazdu do dworca. Wogóle całą budowę kolei postanowiono skończyć do połowy listopada r. b., tak, aby na schyłku tego miesiąca można już było rozpocząć prawidłowy ruch towarowy i pasażerski. Prawdopodobne jest opóźnienie ruchu, gdyż rząd nie zgadza się na budowę na Teterowie i Huczwi tymczasowych mostów drewnianych i żąda postawienia odrazu kamiennych lub żelaznych.

**Wilno.** Wystawę przemysłowo rolną otwarto d. 13 b. m. Ogólnie dość zamożna w szczegółach atoli wiele braków; tak np. nasiona, zboża, trawy, warzywnictwo, prawie zupełnie pominięto. Nagrody, szczególnie dla włościan, mają na celu zachętę do prowadzenia różnych działów gospodarki. Ministeryum rolnictwa przysłało właśnie dla tej kategoryi wystawców za konie i bydło, młocarnię ręczną, młynek, 6 pługów, medal srebrny, bronzowy i 100 rs. gotówką. Jest to zwyczaj bardzo dobry, szczególnie nagrody w postaci przedmiotów, niezbędnych w gospodarstwie; nietylko bowiem łechcą one miłość własną, zachęcają jeszcze do większej staranności, lecz jednocześnie dają możność, chociaż przygodną, zastosowania udoskonalonych narzędzi. Oprócz powyższych, różne instytucye przeznaczyły zwykłe nagrody: petersburski klub rolników dał 1 medal srebrny, 3 bronzowe, rosyjskie Towarzystwo opieki nad zwierzętami 4 medale bronzowe i 4 listy pochwalne; Towarzystwo hodowli ptactwa domowego—jeden medal srebrny mały, jeden bronzowy wielki i jeden bronzowy mały. Wileńskie Towarzystwo wyścigowe przeznaczyło od siebie 7 medali złotych, 25 srebrnych wielkich, 40 srebrnych małych i tyleż bronzowych. Ogółem przeznaczono 180 nagród. Wystawa liczy 8 działów: I) Hodowla inwentarzy żywych (konie, osły, muły, bydło, owce, świnie, króliki, psy, ptactwo domowe, pszczoły, ryby). II) Produkty powyższych zwierząt. III) Produkty rolne. IV) Sadownictwo, warzywnictwo, leśnictwo. V) Produkty rolno-techniczne. VI) Nawozy sztuczne i opał kopalny. VII) Przemysł drobny. VIII) Oddział po za konkursem. Wystawa obejmuje cztery gubernie: wileńską, kowieńską, mińską, grodzieńską.

**Petersburg.** *Nowoje Wremia* donosi, że wkrótce rozpocznie swoje zajęcia specyalna komisya, powołana w sprawie przekształcenia departamentu górniczego na główny zarząd górniczy, w którym skupią się wszelkie sprawy, wchodzące w zakres górnictwa rządowego i prywatnego.—*Petersb. list.* donosi iż w Moskwie zapadł świeżo wyrok izby sądowej w sprawie pewnego właściciela lombardu, oskarżonego o lichwę: pobieranie wraz z opłatą za przechowanie fantów więcej niż 12% rocznie. Izba sądowa uznała czynności właściciela lombardu za lichwiarskie. Wyrok ten wywołał popłoch wśród właścicieli lombardów. Utrzymują, że wszyscy oni zobowiązani będą deklaracyami do pobierania opłaty rocznej wraz z kosztami przechowania fantu tylko do wysokości 12%. Skazany wyrokiem izby sądowej moskiewskiej właściciel lombardu zwrócił się ze skargą do senatu.—*Now. wr.* donosi, iż na jarmarku w Niższym Nowogrodzie ukazało się teraz w obiegu sporo fałszywych banknotów sturublowych, podrabianych tak zręcznie, że trudno na razie odróżnić je od prawdziwych. Jest jednak pewna cecha, po której można je poznać. Oto na banknotach sturublowych podpis zarządzającego Bankiem państwa dochodzi z prawej strony do pierwszej litery *r* w wierszu „rubli", na fałszywym zaś także na drugą literę (*u*) wyrazu „rubli". — *Nowoje Wremia* pisze: „W tych dniach pomocnik generał-gubernatora finlandzkiego, generał-lejtnant Gonczarow, zwiedził seminaryum nauczycielskie w miasteczku Kümel, na samej północy Finlandyi. Szkoła ta należy dodać, przysposabia nauczycieli do szkół ludowych w Finlandyi. Obeznawszy się z urządzeniem zakładu naukowego i stwierdziwszy jego wzorowy stan, gen. Gonczarow przeegzaminował kilku uczniów z rosyjskiego języka i zadał im kilka pytań z zakresu gramatyki elementarnej. Okazało się, że przyszli nauczyciele nietylko nie wiedzieli, jak odpowiedzieć na zadane im pytania, lecz nawet nie mogli zrozumieć, o co ich pytają. Tymczasem jeszcze pięć lat temu z rozporządzenia senatu finlandzkiego język rosyjski był wprowadzony do programów seminaryów, nietylko jako przedmiot obowiązkowy, lecz i główny. Generał Gonczarow wyraził swoje wielkie niezadowolenie zwierzchnikowi seminaryum i doniósł o rezultatach rewizyi senatowi finlandzkiemu, aby niezwłocznie powiększono liczbę lekcyi języka rosyjskiego. W większych miastach, gdzie wykład prowadzi się pod surową kontrolą władzy, język rosyjski wykładany jest lecz w stopniu, nader niezadawalającym wskutek braku nauczycieli, obeznanych z przedmiotem praktycznie i teoretycznie. We wsiach i miasteczkach natomiast nie jest on wcale wykładany."

## SPRAWY EKONOMICZNE.

### WYSTAWA OGRODNICZA.

Ponieważ reporterzy, politycy i powieściopisarze już wydali ostateczny wyrok o wystawie ogrodniczej, więc teraz mogą zabrać głos ludzie, którzy cokolwiek znają się na jej produktach i sami uczestniczą w ich hodowli.

Twórcy tego przedsięwzięcia urządzili je z dużym rozmachem i nakładem: sfalowali sztucznie ogród Bagateli, porobili w nim rozmaite upiększenia, zbudowali kosztowną halę na kwiaty i kilka poddaszy na owoce, rozesłali odezwy po całym kraju, zapomocą artykułów dziennikarskich sięgnęli namową do najodleglejszych jego zakątków, a za pomocą 139 konkursów otworzyli drogę do popisu wszelkiej ambicyi i wszelkiej pracy ogrodniczej. Być może, iż marzyciele między nimi mieli cichą nadzieję osiągnięcia jakiegoś zysku dla Towarzystwa, ale komitet przedewszystkiem chciał okazać naocznie, że Bagatela jest siedzibą piękną, a na tego rodzaju użytki wyborną, że sztuka i umiejętność ogrodnicza porobiły u nas w ostatnich latach znaczne postępy, że kraj rozwinął w swej produkcyi gałąź poważną i wiele mu obiecującą. Nadto inne jeszcze cele spoczywały w pytaniach, na które dopiero wystawcy mieli odpowiedzieć.

Czy to założenie zostało spełnione? Tylko w części. Pomijając — zdaniem naszem — poboczny wzgląd, że Towarzystwo nie pokryje prawdopodobnie dochodami kosztów swego przedsięwzięcia, gorszem jest to, że kraj przyjął w wystawie udział bardzo mały i że ją przeważnie wypełniła Warszawa z najbliższemi okolicami. Po za tym ciasnym kręgiem wystąpiło zaledwie kilkanaście miejscowości: Kazimierz n.W., Częstochowa, Łódź, Smardzewo (p. płoński), Podzamcze (pow. garwoliński), Siedlce, Ciechanów, Kanigowo, Bodzanów, Leszczynek (p. kutnowski), Szczsna (gub. radomska), Malice (g. radomska), N. Aleksandrya, Wiehradz (pow. grójecki), Zduńska Wola, Radziejowice (pow. błoński), Skierniewice, Pietków (gub. łomżyńska). Garstka ta niknie w zastępie warszawskim, a dodać trzeba, że — z wyjątkiem Podzamcza — płody jej należą ilościowo i jakościowo do najskromniejszych. Zarówno duchowe, jak materyalne życie nasze jest zbytześrodkowane w Warszawie, ale jeżeli to jego ciążenie w pewnych kierunkach jest usprawiedliwione, to doprawdy trudno pojąć, czemu ono nie rozstrzeli się w ogrodniczym. Hodowcom roślin zbytkowych niewątpliwie potrzebnem jest miasto wielkie, posiadające znaczny procent ludzi zamożnych i szeroki przepływ gości. Opatów lub Kutno nie może być rynkiem dla palm, begonii, storczyków, chryzantemów, tuberoz, a nawet dla róż i gwoździków, których ogromne masy pochłania Warszawa. Ale na co ona jest potrzebna hodowcom drzew owocowych i ozdobnych? Wszakże ze szkółek korzystają głównie właściciele ziemscy, mieszkańcy wsi lub małych miast, którym co najmniej jest wszystko jedno, czy mają sprowadzać drzewka z Warszawy, czy z Łowicza lub Hrubieszowa, a nieraz woleliby z tych miejsc, które leżą bliżej i gdzie mogliby nabyć taniej. Tymczasem sądząc z wysta-

wy, należałoby wnioskować, że po za kołem Warszawy zaledwie Częstochowa i Podzamcze odważyły się na prowadzenie szkółek. Nie jest to wierny obraz rzeczywistości, ale niedaleko od niej odbiega.

Jeśli wszakże jest nieco lepiej, czemuż t. zw. prowincya zachowała się obojętnie względem wystawy? Czemuż w niej nie przyjęły udziału nawet tak ogromne plantacye, jak w Otwocku, Złotym Potoku i innych, plantacye, które—jak u p. Kurtza—zawierają tysiące częściowo gdzieindziej nieznanych odmian owocowych? Wiadomo, że uprawiamy w wielkich rozmiarach (aż do nadprodukcyi!) chmiel, cykoryę, nasiona buraczane itd. — o tem wszystkiem na wystawie ani słychać. Są okolice w naszym kraju, sprzyjające pewnym gatunkom owoców (np. kalebasa płaska, brzęczka nadwiślańska, węgierki itd.), które tam tylko dochodzą do swej właściwej formy i wysokiej doskonałości. I o tem Wystawa nic nam nie mówi. Kalebasę widzieliśmy, ale nie z Płockiego, brzęczka gdzieś się schowała, węgierek nie dostrzegliśmy itd. Naturalnie jeden chłop z sadem włościańskim, którego dla pełności tonów gamy społecznej posiadamy w każdej uroczystości, nie poucza nas również o pracy ludu naszego na tem polu. Zapewne, trudno wymagać, ażeby wystawa dała ścisły w szczegółach, statystyczny i ekonomiczny wizerunek produkcyi kraju, ażeby nas objaśniła dokładnie, co, gdzie, ile i jak on wytwarza, ale ogólnego pojęcia mamy prawo od niej wymagać. Otóż ze smutkiem wyznać musimy, że dzięki słabemu uczestnictwu prowincyi, tegoroczna wystawa ogrodnicza nie dała nam pod tym względem nawet przybliżonego wyobrażenia. Dowiedzieliśmy się od niej tylko, co i jak hoduje Warszawa ze swemi przyległościami.

Zobaczmy.

Ani dzieła naukowe (Jankowskiego i Majewskiego), ani zbiory i wyniki badań (Cybulskiego, Dregego, Kolakowskiego), ani nawet plany i rysunki (Kronenberga, Szaniora, Chrząńskiego, Ciszkiewicza, Albrychta) nie dadzą się ocenić krótką wzmianką. Są to przedmioty dla krytyki szczegółowej, której tu podejmować nie możemy.

Najokazalej przedstawił się dział roślin ozdobnych. Jak rzekliśmy, wzniesiono dlań osobną halę, która zgromadziła w sobie wspaniałe palmy, paprocie, begonie, gladiolusy, gloksynie, crotony, caladia — wszystko nareszcie, co bogata cieplarnia rodzi, żywi, wychowuje i kształci. Królują w tem państwie cudownych barw, woni i postaci pp. Ulrich i Hoserowie; obok nich z mniejszym blaskiem stoją: Jezierski, Siedlecki, Czarnecki, Jałoszyński i inni, a także okazy szklarń pańskich, Bersona i hr. Branickiego, oraz hodowle pokojowe, między któremi wyróżnia się zbiór prof. K. Jurkiewicza *). Jakkolwiek wszystko to jest piękne, nawet bardzo piękne, mniejszą posiada wagę, gdyż rośliny szklarniowe są wytworem kosmopolitycznym, zbytkownym, dostępnym dla bardzo szczupłego koła producentów i nabywców, niemającym ścisłego związku ani z naszą ziemią, ani z naszym klimatem. Większe już znaczenie posiadają dobory: róż, pacioreczników, ulanek itp., które u nas są lub być powinny ozdobą każdego ogrodu. Tu jednak zauważyć należy, iż o ile np. canny były śliczne, o tyle róże w kląbach ani formami, ani ilością odmian, ani dorodnością kwiatów nie olśniewały wcale. Kto nie zna ich przepychu i wspaniałości, ten z wystawy by się nie domyślił. „Królowa“ wystąpiła tu w zwyczajnym stroju, co jej ministrowie usprawiedliwiają suszą, ale przecie oni umieją udaremnić wszelkie zamachy klimatu na jej majestat, dowodem śliczne okazy w bukietach „Flory“ (Kaczyńskich). Natomiast rozrzucone po kląbach canny pp. Hoserów i Plantacyj miejskich wyglądały świątecznie.

Wiechy zeschłych prętów i liści nie mogły unaocznić widzom wdzięku krzewów ozdobnych. I dlatego sądzimy, że na przyszłość trzeba albo takiego pokazu zaniechać, albo odpowiednio przygotować rośliny do wystawy w donicach i kubłach. Przesadzanie zniosły tylko nieźle drzewa iglaste, których ładną kolekcyę przedstawił p. Ulrich oraz w bardzo dorodnych egzemplarzach p. Poznański (Nowy Sad), któremu słusznie przyznano najwyższą w tym dziale nagrodę. Podzamcze wystąpiło z miniaturą swych rozległych plantacyj, skupiwszy drzewka rozmaitych odmian i rozmaitego wieku. W tej próbce znać wiedzę, sumienność, świadomość drogi i celu. Stanowi ona przykład, jak u nas się opłaca hodowla umiejętna nawet na wielką skalę.

Oryginalne i efektowne araucarie i doskonale wyprowadzone laurusy p. Bersona, rośliny ozdobne ogrodu miejskiego, oraz drzewka i kwiaty pp. Hoserów, Turkowskiego i innych, stanowiły miły wdzięk pojedynczych grup i widoków ogrodu. Chociaż z żalem, musimy jednak w piśmie niespecyalnem wyrzec się oględzin szczegółowych.

Przejdźmy od poezyi do prozy.

Warzywa, które prawdopodobnie skutkiem długotrwałej suszy wszędzie poniosły klęskę, przedstawiły się tak smutnie, że ratowały ich zagrożony honor... dynie, które zresztą każdy na kupie kompostowej może sobie wyhodować w większych jeszcze rozmiarach. Obok nich trochę pomidorów, ogórków, melonów, kapusty, marchwi — akurat tyle, ile malarzowi potrzeba na model do obrazu z tytułem: „martwa natura.“ Ubogim niezmiernie był również dział nasion i przetworów owocowych, których zresztą okiem ocenić niepodobna. Może coś wiedzą o ostatnich ci, co jedli i pili.

Pozostaje nam dziedzina najobszerniejsza i najważniejsza — owocarstwo. Naprzód co do drzewek, to w szkółkach pp. Ulricha, Hosera, Jankowskiego, Wertheimowej, Zawady, Ogrodu pomologicznego i in. widzieliśmy drzewka pienne, wyprowadzone ładnie i umiejętnie; natomiast w karłach nie dostrzegliśmy tej sztuki cięcia i formowania ich, która tak wysoko stoi i nieraz zdumiewa za granicą. Wystawiono tylko roboty zwyczajne i początkowe (palmety i stożki). Nawet karły w skrzyniach (Frascati) nie odznaczają się ani wytwornością kształtu — piramidy rosnące dowolnie i jeden kubek — ani dorodnością owoców, które w tej samej wielkości i doskonałości urodzi każde drzewo pienne. Co do owoców, przyznać trzeba — z zastrzeżeniem braku dalszej prowincyi — że wystawa może być z nich dumną. P. Ulrich przedstawił kilkaset odmian gruszek, jabłek i śliwek, wykształconych pięknie; imponujące również i śliczne zbiory okazali pp. Hoserowie, Ogród pomologiczny, mniejsze — pp. Bardet, Frascati, Lisicki, Łuszczewski, dr. Stano, Albrycht i inni. Nadto p. Jankowski z celem praktycznym wystawił dobory ładnych owoców przezeń hodowanych i na szerszą hodowlę zasługujących, czem zbliżył się do najważniejszego zadania, o którem kilka słów niżej powiemy. Te kolekcye, które zajęły pierwsze miejsca, oprócz przyjemnego widoku dały jeszcze zwiedzającym wielką korzyść w nazwach owoców, przeważnie ścisłych, co było słabą stroną wystawców mniejszych i co jest słabą stroną naszego owocarstwa.

Najważniejszem zadaniem naszej pomologii powinno być ułożenie wykazu tych odmian, które z korzyścią i powodzeniem u nas hodować się dadzą. Do tego dążą wszystkie kraje i mniej lub więcej osiągnęły już pewne wskazówki. Na nieszczęście my ciągle stąpamy poomacku. Ani nie przeprowadziliśmy pojedynczych gatunków przez długoletnie doświadczenie i przez rozmaite warunki klimatu i gleby, ani nie możemy zalecać wyniku naszych spostrzeżeń, gdyż nie wiemy, jak się nazywają drzewa, które w naszych sadach rosną, ani nie ustaliliśmy nazw wątpliwych, ani nie stwierdziliśmy odmian własnych. To też zdarza się, że zachęceni widokiem jakiegoś pięknego okazu na wystawie, sadzimy drzewka, które w naszej ziemi bez szczególnej opieki rozwijać się i rodzić nie mogą lub też poszukujemy zachwalonych, które posiadamy, nie wiedząc o tem itd. Słowem, panuje ciągle w naszem owocarstwie błąkanina, która jednych zniechęca, drugich na straty naraża, a innym udaremnia najlepsze chęci i wysiłki. A ten stan trwać będzie dopóty, dopóki na podstawie rzetelnych doniesień z różnych okolic i bacznych obserwacyj specyalistów nie dojdziemy do normalnego doboru drzew owocowych dla naszego kraju. Jak do tego zabrać się należy, wskazał między innymi p. Montwiłł, który wystawił rozmaite Sierynki, Strumiłówki, Śmietankowo, objaśniwszy, co każde z tych jabłek jest warte i które powyższemi nazwami oznaczać wypada. Szkoda wielka, że zamierzona narada hodowców podczas wystawy rozchwiała się, dałaby bowiem sposobność do ułożenia programu wspólnej pracy i rozplątania wielu wątpliwości.

Żegnając już zamknięty popis, winniśmy być wdzięczni tym, którzy go urządzili. Wlał on w nas nieco otuchy, zachęty i nadziei. Nie można było nad jego bramą umieścić godła: czem chata bogata, tem rada, bo chata nasza jest bogatsza — i tego powinniśmy dowieść na wystawie następnej.

*A. H.*

## STATYSTYKA PRZEMYSŁOWA.

U nas statystyka albo jest lekceważona, albo przeceniana. Prawidłowej jej organizacyi na wzór urządzeń zagranicznych nie mamy wcale, lecz za to na doryweczych strzępkach cyfr, zebranych pod wpływem nacisku lub wymodlonych przez kwestyonaryusze, opieramy piękne gmachy wniosków, z których dość wyjąć jedną cegiełkę — cyfrę mylną, ażeby cały gmach runął bez ratunku. Wogóle ludność na wszelkie zbieranie cyfr zapatruje się wrogo, nie zna lub nie rozumie celu, domyśla się jakichś szkodliwych dla siebie zamiarów, więc odpowiada niechętnie lub wprost fałszuje dane, które my znowu przyjmujemy z dobrą wiarą i dajemy sprawom życiowym oświetlenie mylne. Tak będzie zawsze, dopóki nie posiądziemy organizacyi stałej, póki społeczeństwo, jak inne, stojące na wyższym poziomie, nie oceni całej doniosłości cyfr i samo nie przyłoży ręki do poszukiwań. Zanim to nastąpi, trzeba przedewszystkiem zdobyć zaufanie tłumów, usunąć charakter grozy urzędowej. — Pytają mię, ile zasiewam żyta — mówił mi jeden szlachcic — ohol nie głupim! Bo ja wiem, czego oni chcą? Może będą pobierali jakiś procent od plonu. Podałem cyfrę o połowę mniejszą, niż w rzeczywistości. Niech mają figla! I zaśmiał się szczerze, dobrodusznie. Takie figle są płatane na każdym kroku, a biedni, naiwni figlarze nie domyślają się nawet, jaką tym sposobem przynoszą szkodę sobie i społeczeństwu.

W zakresie przemysłu wielkiego trochę dzieje się inaczej; tam są pewne rubryki obowiązkowo wypełniane na zasadzie wymagań inspekcyi, a fabrykanci wiedzą dobrze, że to nie przyniesie im szkody, że nie ma w tem wcale zamachu na ich mienie.

*) Ładne rzeczy przedstawił również p. Bardet, ale podobno przeważnie sprowadzone z zagranicy.

Ale to dotyczy tylko wybitniejszych działów produkcyi. Niektóre kongresy statystyczne: brukselski, wiedeński, petersburski, roztrząsając kwestyę zbierania i opracowywania danych z tej dziedziny, podały wiele teoretycznych wskazówek, od których wszakże praktyka bardzo często musi odbiegać. Na ostatnim zjeździe w Petersburgu uznano za sposób najodpowiedniejszy peryodyczne poszukiwania w okresach dziesięcioletnich, tudzież niezależnie od tego, coroczne zbieranie danych. Pierwsze, przy obszarach państwa rosyjskiego i ich różnorodności, są trudno do urzeczywistnienia; drugie, dzięki najświeższym urządzeniom, poczynionym przed paru tygodniami, pchnięto na nowe tory, mianowicie gruntownie zmieniono dotychczasowy sposób zbierania danych o zakładach przemysłowych, jako nieodpowiadający wcale wymaganiom dzisiejszym. Istotnie, tylko cyfry działów, obłożonych akcyzą tudzież przemysłu górniczego, mogły być pewne i stałe, jakkolwiek i tutaj sam program poszukiwań nie zawsze jest właściwy, nie uwzględnia wszystkich szczegółów. Przy wprowadzeniu inspekcyi fabrycznej kwestyę statystyki poruszono, ale pomimo to pozostała ona na planie ostatnim, być może dlatego, że ten nowy organ wzorowano na urządzeniach angielskich; patrzano na niego jako na pośrednika między przedsiębiorcą i robotnikami, lecz obowiązki inspektorów, jako organów statystycznych, nie były przewidziane. Ale od marca 1894 roku włożono już na nich tę rolę. Pozostawało tylko stworzyć pewien plan, określić sposoby i warunki zbierania danych. To właśnie zadanie poruczono do przeprowadzenia ministeryom: skarbu i spraw wewnętrznych. Otóż wynikiem tego jest obecnie opracowanie szeregu środków, według planu, ułożonego przez departament handlu i rękodzieł. Skutkiem cyrkularzów, rozesłanych do naczelników gubernij, okręgów, burmistrzów, oberpolicmajstrów, liczba organów statystycznych znacznie się zwiększa. Obowiązek udziału w poszukiwaniu danych należało także włożyć na mechaników gubernialnych i okręgowych. Tam zaś, gdzie niema ani inspektorów, ani mechaników, minister spraw wewnętrznych uznał za możliwe polecić tę czynność wogóle ludziom, posiadającym techniczną znajomość rzeczy. Wprawdzie i przed wydaniem przepisów powyższych inspekcya fabryczna dostarczała szczegółów odpowiednich ministeryum skarbu o ludności robotniczej, jej rozmieszczeniu w różnorodnych zakładach; wogóle była ważną pomocą w poszukiwaniu niezbędnych danych; ale to była robota niesystematyczna, niezbyt pewna i dorywcza. Przytem cyfry i rubryki zawsze były stereotypowe, niejasne, sprzeczne. Otóż dla usunięcia takiego stanu rzeczy, departament handlu i rękodzieł opracował odpowiedni plan, bardzo ułatwiający całą robotę. Za pośrednictwem odpowiednich organów będą otrzymywać szematy takie wszelkie zakłady przemysłowe, mające nie mniej, niż 15 robotników, tudzież te, które oprócz powyższej liczby pracowników mają kocioł parowy, takąż maszynę oraz inne urządzenia i motory. Rubryki owe już rozesłano, ze stanowczem zastrzeżeniem, ażeby je wypełniono do 13 września r. b. Jedynym, najradykalniejszym bodźcem w tym razie oczywiście jest nacisk prawny i rygor, środki, bez których niepodobna dotąd nic zdziałać. Termin powyższy oznaczono dla Rosyi europejskiej; dla innych obszarów po za jej granicami pośpiech ten byłby wprost niemożliwym. Postanowiono atoli starać się wszelkiemi siłami, ażeby szczegóły niezbędne mogły być całkowicie dostarczone do ministeryum skarbu zawczasu przed otwarciem wystawy wszechrosyjskiej w Niższym Nowogrodzie, na której po raz pierwszy będzie przedstawiony ogólny obraz w całej pełni warunków przemysłu w państwie. Wogóle, o ile widzimy z nowego programu, postanowiono możliwie ułatwić drogę w zbieraniu, dostarczaniu i sprawdzaniu odpowiednich danych; między innemi ułożono rubryki w ten sposób, ażeby były przystępne dla ludzi nawet najmniej inteligentnych. Pytania, na które należy obowiązkowo odpowiedzieć, są następujące: Nazwa zakładu i jego firmy; miejsce. Czy uprawia jedną, czy kilka gałęzi produkcyi? Do kogo należy? Czy są składy wyrobów? Czy zakład jest dzierżawiony i przez kogo? Gdzie mieszka właściciel? Czy on sam prowadzi przedsiębiorstwo, czy kto inny? Jakie towary, w jakiej ilości i na jaką sumę są wyrobione w roku sprawozdawczym i dokąd są wywożone? Jakie materyały są używane do produkcyi, ile i na jaką sumę? Skąd są otrzymywane produkty surowe i pół-fabrykaty? Jakiego rodzaju opał jest używany w zakładzie, za jaką sumę i skąd jest sprowadzany? Nadto kwestyonaryusz wymaga wyjaśnienia, jakie istnieją w zakładzie motory mechaniczne, oprócz maszyn parowych, ile jest tych ostatnich i jakiego one są rodzaju, w jakim czasie i z jakiem natężeniem działa zakład; jaka wogóle jest jego praca peryodyczna.

Przemysłowcy lub zarządzający zakładami powinni o każdej gałęzi produkcyi podawać szczegóły osobno, ku czemu służą stosowne kartki, które oprócz danych ogólnych powinny zawierać dokładne wiadomości o sile pracy, wytwórczości i jej środkach. Słowem, kwestyonaryusze te są ułożone w taki sposób, że się nie pomija najmniejszego szczegółu i że tym sposobem po rzetelnem wypełnieniu wszystkich pozycyj można mieć dokładne pojęcie o pewnej gałęzi produkcyi, jej podstawach, wreszcie o wszelkich urządzeniach, mających związek z takiem ogniskiem, a więc: o szkołach, szpitalach, mieszkaniach robotniczych, przytułkach, żłobkach, lecznicach, zakładach położniczych, czytelniach, teatrach, kasach itp. Dalej niezbędne są wiadomości o ubezpieczeniach robotników od wypadków nieszczęśliwych. W końcu ilość ciężarów podatkowych, ponoszonych przez zakład itd.

W samej metodzie poszukiwania danych wielkiem ułatwieniem jest to, że szczegóły potrzebne nie będą ściągane ryczałtowo, lecz odpowiednio rozłożone. Tak np. przed końcem marca powinny być zgromadzone dane o położeniu różnych gałęzi przemysłu we wskazanym obrębie, tj. dające obraz o jakości i liczbie zakładów, o ich warunkach technicznych, o stanie i warunkach robotników, rodzaju materyałów surowych i paliwa tudzież warunkach jego czerpania. Następnie muszą być wyjaśnione kwestye o rodzajach i wartości wyrobów, kosztach produkcyi i cenach sprzedaży, warunkach zbytu i wszelkich innych, wpływających na rozwój lub zastój pewnej gałęzi przemysłu. Zbierając skrzętnie powyższe dane, inspektorowie tudzież mechanicy powinni działać nadzwyczaj ostrożnie, żeby — jak powiada organ ministeryalny, *Wiestnik finansow* — nietylko nie naruszać tajemnic handlowych, ale nie dawać nawet powodu do jakichkolwiek podejrzeń w tej mierze.

Również w marcu powinny być zebrane szczegóły, dające pojęcie o tem, jak są stosowane przepisy i jakie pożądane byłyby w nich zmiany w zakresie urządzenia i nadzoru nad zakładem, najmu robotników i pieczy nad wzajemnymi stosunkami pracowników i zarobkodawców. Na te dwie kwestye: najem i stosunki wzajemne, ma być zwrócona szczególna uwaga, a więc wymagane są najdokładniejsze szczegóły w tym względzie, które mogłyby posłużyć do harmonizowania przepisów z istotnemi potrzebami życia.

Druga część programu zawiera dane o właścicielach i zarządzających, którzy się odznaczają szczególną troskliwością w zakresie udoskonaleń technicznych, tudzież środków, zabezpieczających życie i zdrowie robotników, jak również dane o majstrach i robotnikach wzorowych, pracujących długie lata w jednym zakładzie. Wszystkie to szczegóły powinny być przedstawione władzy ministeryalnej najpóźniej 27 lipca.

Pomijając inne szczegóły i terminy ich grupowania, musimy zaznaczyć, że dla poglądowego przedstawienia stanu przemysłu uznano za rzecz konieczną mapy przemysłowe każdej gubernii, na których podstawie można będzie ułożyć ogólną kartę całego państwa. Nowość tę prawdopodobnie zobaczymy już na wystawie w Niższym Nowogrodzie. Termin dostarczenia owych map nie jest już bardzo odległy: 13 stycznia 1896 r. Za materyał do tej pracy posłużą wszystkie dane, nagromadzone przez inspektorów fabrycznych oraz dostarczone przez właścicieli zakładów. Mapy będą układane w sposób następujący: każda fabryka, czy zakład przemysłowy, mają być oznaczane odpowiednią figurą, której forma i rozmiary powinny dawać pojęcie o liczbie robotników, kolor zaś — o typie zakładu. Klasyfikacya ta, przyjęta przez departament, zawiera 12 kategoryj: 1) bawełna, 2) szerść, 3) jedwab, 4) len, konopie, 5) mieszana produkcya materyałów włóknistych, 6) wyroby papierów i pokrewnych gałęzi, 7) wyroby drzewne, 8) wyroby metalowe, produkcya maszyn, aparatów, narzędzi rzemieślniczych, 9) wyroby w zakresie przedmiotów mineralnych, 10) produkcya zwierzęca, 11) żywnościowa i 12) przemysł chemiczny. Ten sam podział zastosowano do rubryk kwestyonaryuszów. Na mapach zakład, obejmujący kilka zasadniczych gałęzi produkcyi, będzie oznaczony odpowiednimi kolorami. Dla wszystkich 12 grup będzie tylko osiem barw, stosownie urozmaicanych czarnymi punktami.

Jednocześnie z uregulowaniem i ulepszeniem statystyki przemysłowej ostatecznie rozstrzygnięto statystykę wypadków nieszczęśliwych z robotnikami w zakładach przemysłowych. Przy rozpatrywaniu w Radzie Państwa projektu prawa (z marca 1894) o przekształceniu inspekcyi fabrycznej i instytucyi mechaników gubernialnych, położono już nacisk na konieczność prawidłowego i skrzętnego zbierania danych. Można to wszakże było uskutecznić dopiero po przeprowadzeniu wielu czynności przygotowawczych. Dla ułatwienia stworzono osobne książeczki, których każda stronica służy do zapisywania wypadku, dotyczącego jednej tylko osoby. Kartka taka dzieli się na trzy części z gotowymi szematami, które ułatwiają określenie i opisanie wypadku możliwie najdokładniej. Niezależnie od tego książka zawiera osobne objaśnienia ułatwiające, które powinny zapobiedz chaosowi i niedokładnościom. Notowanie tych wiadomości jest obowiązkowo nakazane pod groźbą kary. Opracowanie materyału, nagromadzonego tą drogą, bierze na siebie całkowicie departament handlu i rękodzieł, przyczem w drobiazgowych wyjaśnieniach będzie przyjęty system niemiecki. Cały ten dział statystyczny ma na celu wyjaśnienie warunków pracy, niebezpiecznych dla życia i zdrowia robotników, a następnie—wyszukiwanie środków zaradczych. Wogóle nowa organizacya statystyki przemysłowej jest zwrotem niezmiernie ważnym, jako wielki krok naprzód w urządzeniach tego rodzaju. Ster przemysłu i handlu, zdobywszy tą drogą dokładny obraz istotnego stanu produkcyi, jej potrzeb i braków, będzie mógł jasno współdziałać dla ułatwienia rozwoju w zakresie udoskonaleń technicznych i ekonomiczno-społecznych. Więc już nie po omacku, łatwiej będzie uniknąć omyłek lub zarządzeń bezcelowych. *Drog.*

**Dla ludu.** Wobec projektu urządzania odczytów i konferencyj z różnych dziedzin gospodarstwa wiejskiego w miastach i po wsiach, oraz krótkich kursów gospodarstwa wiejskiego dla rolników i innych osób płci obojej, departament rolnictwa zwrócił się do podwładnych zakładów naukowych z pytaniami: 1) Jakie odczyty, kursy itp. mogłyby być zorganizowane z pomocą danego zakładu, dla jakich przedmiotów i według jakich programów? Który z pośród personelu danego zakładu i w jakim czasie mógłby urządzać odczyty, konferencye itp. za specyalnem wynagrodzeniem? 3) Czy można liczyć na dostateczną liczbę słuchaczów, jako też na to, czy miejscowe ziemstwa, miasta itp. udzielą bezpłatnie funduszów na koszty demonstracyj, doświadczeń itp.? 4) Jakich środków naukowych może dostarczyć dany zakład do odczytów, a jakie należałoby nabyć? Odpowiedzi na pytania powyższe mają być nadesłane na d. 27 września, tj. w tej porze, gdy zaczną się zajęcia komisyi, utworzonej pod przewodnictwem dyrektora departamentu rolnictwa dla obmyślenia sposobów krzewienia wiadomości rolniczych śród ludu.

— Ministeryum rolnictwa postanowiło sprowadzić z Francyi 300 sztuk jabłonek francuskich, które mają być rozesłane do wszystkich gubernij dla wyjaśnienia kwestyi, o ile możliwe jest aklimatyzowanie ich w obrębie państwa i zużytkowywanie następnie owoców w formie jabłecznika francuskiego (*cidre*). Ministeryum będzie popierać tę produkcye.

— Wobec pomyślnych rezultatów pierwszej próby sprowadzenia z za granicy, głównie z Yorkshiru i Devonshiru, zarodowej trzody chlewnej dla osób prywatnych, ministeryum rolnictwa przystąpi wkrótce do założenia biura pośrednictwa dla nabywania tej trzody. (*Graždanin*).

— W pow. włocławskim (wieś Czerniewiczki) padło 75 owiec od karbunkułu. W pow. nieszawskim, we wsi Lekaszewie zachorowało 39 sztuk bydła rogatego również na karbunkuł. W pow. włocławskim we wsi Pustki Unisławskie ukazała się nosacizna śród koni.

## O PRAWDĘ.

### W obronie Londynu.

Przeczytawszy w numerze 36-ym *Prawdy* artykuł pana Ż., jako szczery wielbiciel Londynu, poczuwam się do obowiązku wystąpienia w obronie spotwarzonego miasta. Czytelnik gotów pomyśleć, że Londyn podobny do Warszawy i uwierzyć, że jego mieszkańcy „nigdy nie zanurzają oka w czystem sklepieniu nieba,“ że piękność przyrody zastępują mu „pożółkłe trawniki w parkach“ i t. d. Tymczasem p. Ż. sam sobie winien, że będąc w Londynie, używa warszawskich środków komunikacyi i jeździ omnibusami lub tramwajami. To dobre dla małych miasteczek, jak Paryż, Wiedeń lub Berlin — w wielkich miastach, jak New-York, Chicago, Londyn, trzeba się nauczyć korzystać z wielkomiejskich środków komunikacyi i jeździć koleją. Jeśli p. Ż. wyjedzie z Holborn Viaduct jakim pociągiem pospiesznym, to we dwadzieścia kilka minut stanie w Dulwich, gdzie znajdzie lasy, łąki i tak aromatyczne powietrze, jakiego żadna wieś nie posiada. Wszystkie uroki wsi mają przedmieścia Londynu, z tym dodatkiem, że panuje w nich czystość na wsi nieznana, co nadaje im charakter istotnego raju ziemskiego, szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę, że w takim Dulwich od 50 lat śmiertelność nie przekroczyła cyfry 10 zgonów na 1,000 mieszkańców rocznie. Znając sieć kolei, zbudowanych dla wygody mieszkańców Londynu, łatwo z każdej większej stacyi dostać się w kilkanaście minut do tonących w zieloności przedmieści — z Kingscroos do Highgate, z Euston do Hemstead Heath, z Wiktoryi do Winsbledon, z Charing Croos do Lee — podróż nie trwa pół godziny, jeśli wybrać odpowiedni pociąg. To też większa część ludzi, pracujących w City, stale mieszka w tych przedmieściach. Niech p. Ż. między ósmą a dziesiątą odwiedzi jeden z wielkich dworców podmiejskich kolei Victoria, St. Paul, Charing Croos itd., a zobaczy, jaka olbrzymia liczba ludzi przyjeżdża ze świeżego powietrza do dusznej atmosfery, panującej w dzielnicach środkowych. Mieszkają w nich stale przeważnie cudzoziemcy, bardzo bogaci, lub ci, co są niezbędni dla ich usług. Przeciętny pracownik londyński zawsze gnieździ się gdzieś dalej. Baczna obserwacya parków dowiedzie, że stali mieszkańcy bynajmniej nie cierpią tak na samotność. Wreszcie, nawet jeśli kto koniecznie chce mieszkać pod samem British Museum, to ma w blizkiem sąsiedztwie dwa parki, tak duże, jak Regent Park i Hyde Park, wewnątrz których widzi się tylko drzewa i wcale niepożółkłą trawę, tak że można zapomnieć o tem, iż się jest w mieście. Od Cumberland Gate do Kensington Palace można iść w prostej linii około trzech kilometrów wśród drzew i trawników. Żadne miasto na świecie nie posiada wewnątrz swych murów takich przestrzeni zieloności, jak Londyn. A oprócz tego niezbyt daleko od środka miasta zaczynają się już domki, otoczone ogródkami, ozdobione wiecznie zielonymi krzewami, które nawet w zimie nie tracą swych liści. Schludne schody, prowadzące do tych domków, wyszlifowane szyby, piękne sztachetki, wszystko tchnie czystością i robi takie wrażenie, że nawet cudzoziemiec nabiera ochoty do naśladowania tych pracowitych mieszkańców, pragnie wziąć udział w ich życiu i zabawach. A zabawy te są także wspaniałe. Gdy w Hyde Parku zbierze się 100,000 ludzi, ożywionych jedną myślą, uważnie słuchających tych, co do nich przemawiają, wtedy widoczną się staje dla każdego bezstronnego świadka siła moralna tego narodu. To też twierdzenie pana Ż., jakoby „życie nudne, jałowe,“ wytwarzało „pustkę w duszy,“ dowodzi chyba, że prawdziwego Londynu jeszcze nie poznał. Dalszy zaś wniosek: „w takich warunkach erotyzm napełnia całą naturę ludzką,“ jest nadzwyczaj subjektywny. Wręcz przeciwnie: w Londynie na każdym kroku widać tylko świadectwo wytrwałej pracy ludzkiej; łatwo całkiem zapomnieć o tem, iż obok tej pracy istnieć może lubieżna bezczynność. Że istnieje, o tem świadczy głównie szczere oburzenie, jakie ona budzi wśród anglików. Gdyby nie publicyści angielscy, małoby Europa wiedziała o owych szalonych niby namiętnościach pewnej bardzo nielicznej grupy w stolicy świata. A jeszcze mniej uzasadniony jest zarzut, jakoby w Londynie owe nadużycia były *bezkarne*. Wszędzie zdarza się czasem, że zbrodnia pozostaje bez kary — jednak nigdzie tak rzadko, jak w Londynie. Proszę czytać w *Times*'ie sprawozdania ze spraw, toczących się w różnych trybunałach, proszę poznać dokładnie *całą* historyę wszystkich owych londyńskich skadalów, a łatwo każdy się przekona, jak często i jak surowo odstąpienie od zasad moralności bywa karane. Niedawno proces Wildego był tego świeżym dowodem. Popularny i oklaskiwany autor za zboczenie moralne, dosyć łagodnie kiedyś ganione w Atenach przez Platona, w Londynie dostał się do więzienia, skazany został na ciężkie roboty, odrazu stracił popularność i poważanie. Sądy przysięgłych nieubłaganie surowe są dla niewiernych mężów i kłamliwych uwodzicieli. Regularne czytanie „Law Reports“ w *Times*'ie (można je prenumerować oddzielnie za 25 szyll. rocznie) prawdopodobnie wyleczyłoby każdego paryżanina, przybyłego do Londynu, z owego niezdrowego erotyzmu, na który pan Ż. się skarży.

Co się tyczy rozmiarów Londynu, to nie są one tak bardzo straszne. W New-Yorku (łącznie z przedmieściami Brooklyn, Jersey City, Newark, Elizabeth) i w Chicago odległości są znacznie większe, niż w Londynie, a jednak dzięki udoskonalonym środkom komunikacyi, łatwiej w tych miastach do brzegu dojechać, niż w Paryżu lub Wiedniu. Jeśli New-York i Chicago tak będą dalej wzrastać, jak dotąd, to za kilkadziesiąt lat staną się nietylko większe, ale i ludniejsze, niż Londyn, po za którym pod względem liczby mieszkańców pozostają dotąd w tyle, wyprzedziwszy go co do zajmowanej powierzchni. Wtedy pojęcie *wielkiego miasta* rozszerzy się bardzo, a Paryż wyda się prowincyą!

*W. Lutosławski.*

## KRONIKA.

**Sprawy społeczne.** Z rozporządzenia władz ministeryalnych postanowiono duchownym wszystkich wyznań płacić po 75 kop. do 2 rs. w razie powoływania do zjazdów sędziów pokoju i innych sądów w celu odebrania przysięgi.

— *Nowosti* zwracają uwagę na niewłaściwy zwyczaj sadzania podsądnych, częstokroć zupełnie niewinnych, na ławie oskarżonych wraz ze złodziejami i wszelkiego rodzaju zbrodniarzami.

— Dla Warszawy ustanowiono na sto rubli *maximum* przesyłek pieniężnych, które poczta może dostawić adresatom do domu.

**Szkoły.** Dotychczas ufundowano w Galicyi około 20 stypendyów dla uczniów gimnazyum w Cieszynie.

— Od 1 stycznia 1896 r. w Instytucie technologicznym w Charkowie otwarte będą: katedra konstrukcyi maszyn rolniczych i stacya próbowania maszyn tudzież [illegible].

— Do Petersburga nadchodzą prośby o wprowadzenie nauki języka łacińskiego w gimnazyach żeńskich.

— Dnia 13 b. m. otwarto w Petersburgu narady w sprawie wykształcenia rolniczo-gospodarczego; wniesiono projekt zakładu naukowego dla dzieci niezamożnych rolników, z prawami szkół realnych i przywilejem wstępowania do wyższych.

— Do zgromadzenia krawieckiego w Warszawie zapisało się 71 uczenic, złożyło egzamin na podmistrzynie 55. Na mistrzynie przyjęto 2.

— Towarzystwo muzyczne w Warszawie oprócz istniejących już klas szkoły, postanowiło stworzyć klasy: harmonii, instrumentacyi i kompozycyi, z profesorami: Roguskim, Münchheimerem i Noskowskim. Jest to wszakże zależne od warunku, gdy do każdej klasy znajdzie się przynajmniej 10 kandydatów. Opłata kwartalna rs. 6.

— Szkoła politechniczna w Poznaniu, utrzymywana od r. 1886 przez Towarzystwo politechniczne, przestaje istnieć z końcem bieżącego półrocza letniego. Zakład ten wydał wielu zdolnych majstrów-artystów.

— Dzienniki petersburskie z d. 8 b. m. donoszą, iż do instytutu technologicznego zgłosiło się w roku bieżącym 685 nowych kandydatów. Z tej liczby przyjęto na zasadzie egzaminu wstępnego 95, a co do 45-ciu, wystosowana będzie prośba do władzy naukowej. Wśród przyjętych studentów znajduje się dwóch z wykształceniem uniwersyteckiem.

— Testatorowie funduszu stypendyalnego Stanisława Blocha podają do wiadomości, iż wakują obecnie 4 stypendya po rs. 110 rocznie dla studentów uniwersytetu tutejszego (wszystkich wydziałów i kursów), urodzonych w Królestwie Polskiem a odznaczających się moralnem prowadzeniem i postępami w nauce. Dwa stypendya są przeznaczone dla studentów wyznania mojżeszowego, dwa zaś dla ewangelickiego.

**Zdrowie publiczne.** Według danych *Prawit. Wiest.*, od 18 do 31 sierpnia w gub. wołyńskiej zachorowało na cholerę osób 5,849, zmarło 2,134.

— W Witebsku otwarto lecznicę ambulatoryjną z bezpłatnem udzielaniem porad i lekarstw ubogim.

— Rząd brazylijski z obawy, ażeby wychodźcy nie zawlekli cholery za ocean, wstrzymał napływ emigrantów z Galicyi. Cholera oprócz Tarnopola, wystąpiła w Wertelce (pow. brodzki) i Obelnicy (pow. rohatyński).

— Z powodu cholery, panującej w Tangerze, komunikacya z Gibraltarem przerwana.

**Wypadki.** Parowiec turecki, „Izmail,“ zatonął na m. Czarnem skutkiem zetknięcia się z parowcem angielskim. Zginęło 60 osób.

— We Francyi, na kolei Północnej, znanej ze złego stanu toru i przeciążenia pracą urzędników, wykoleił się pociąg. Kilkanaście osób ranionych, jedna zabita. Tegoż samego dnia w Paryżu spotkały się dwa pociągi. Odniosło ciężkie rany 17 osób.

— Straszne trzęsienie ziemi nawiedziło, jak donosi depesza z New-Yorku, górską okolicę Yetayan w Hondurasie. Wulkan wyrzucał wielkie strumienie płonącej lawy, od której zapalały się domy, ginęli ludzie i zwierzęta. W Yetayan znaleziono 153 zabitych, w Covajuanca 95, w Cayuscal 111; między ofiarami w Yetayan jest 79 żołnierzy. Wstrząśnienia trwały z dłuższemi przerwami parę dni i wyrządziły straty na 3 miliony.

## Odpowiedzi Redakcyi.

*Panu Maryanowi G. w P.* Wierzymy najzupełniej, ale nasze pismo w swych wspomnieniach pozgonnych ogranicza się tylko do pola działalności publicznej. Najzacniejsze jednostki po za granicą tej sfery musimy pomijać, gdyż nie mamy dla ich życiorysów miejsca.

*Prof. W L. w Ł.* O wszelkich pracach, które do naszej redakcyi nadchodzą, zamieszczamy większe lub mniejsze sprawozdania. Pomijamy tylko bezwartościowe.




Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 8 Сентября 1895 г.  Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.